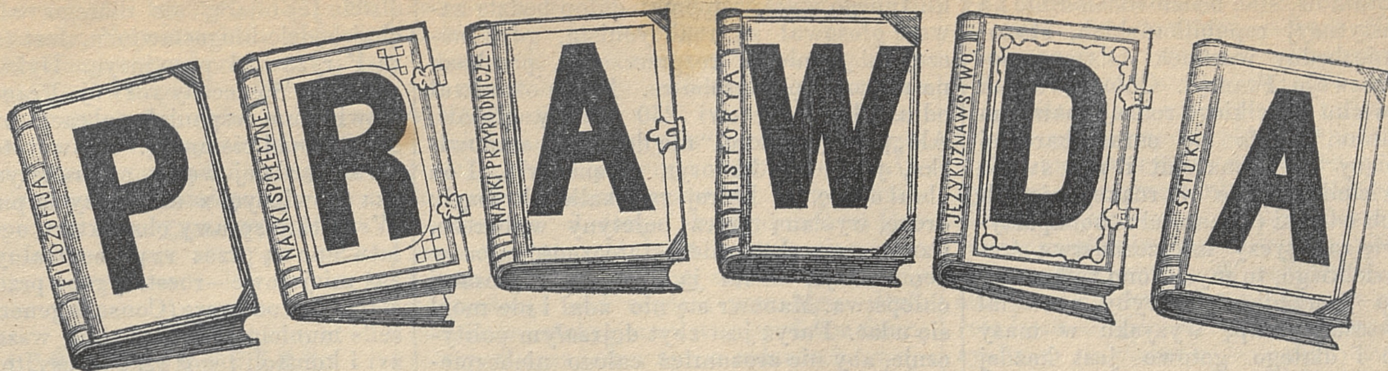
Nr. 32. Warszawa, dnia 9 Sierpnia (28 Lipca) 1890 r. Rok X.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

EUROPA I AMERYKA.

„Zbrojny pokój“ jest i być musi niezbrojną wojną. Wynika to z natury rzeczy, że państwa, nieufające sobie i ofiarami dla utrzymania kosztownych armij rujnujące się wzajem, usiłują szkodzić interesom swoich przeciwników. Ile razy więc którekolwiek z nich dostrzeże, że jakąś ustawą, wprowadzoną u siebie, może narazić na trudy dobro cudze, natychmiast i bez skrupułu używa tego środka. Rozumie się głównie wchodzą w taką grę sprawy ekonomiczne. Żaden naród nie może zamknąć swego gospodarstwa w granicach własnych, lecz musi je wiązać z innemi, korzystać z wytworów obcej pracy i wymieniać je na swoje. W ruchu więc tej wymiany, w sferze tych stosunków odbywa się spokojna i cicha, ale niemniej niszcząca walka. Ci, widząc, że sąsiedzi w znacznej mierze żyją ze sprzedawanego u nich zboża lub trzody chlewnej, obciążają te produkty wysokiemi cłami; tamci znowu w odwet tamują przypływ do swego kraju ich fabrykatów. Od lat dziesięciu przeszło trwa to wszechstronne podskubywanie się i paraliżowanie, które dziś wytworzyło taki splot wzajemnych uszkodzeń, że nieraz trudno oznaczyć, kto zyskuje, a kto traci.

Ameryka nie cierpi od militaryzmu, nie dźwiga brzemienia wielkiej armii, ale i ona również dotknięta jest skutkami systemów ochronno-zakazowych Europy i zarazem duchem jej polityki celnej. Spotężniawszy przytem ekonomicznie, zapragnęła ona wyzwolić się zupełnie od swej współzawodniczki. Zbogacona robotnica chce okazać swej dumnej pani, że ją może zubożyć i sponiewierać, że ją lekceważy. Te moralne i materyalne względy zrobiły ujawnioną w rozmaitych bilach dążność powstrzymania przywozu towarów europejskich, zapomocą wysokich opłat i uciążliwych formalności celnych. Dla Europy jest to niebezpieczeństwo bardzo groźne, więc też odezwały się z jej łona głosy, nawołujące do łącznego przeciwdziałania. Dotychczas jednak między jej państwami nie nastąpiło żadne porozumienie, czemu ma przeszkadzać odmienność ich interesów. Tak np. Francya dowodzi, że głównym rynkiem jej wywozu jest Ameryka środkowa i południowa, Anglia znowu twierdzi, że posiada szeroki upust w Azyi i Afryce, a nadto znaczną część jej kapitałów spoczywa w przedsiębiorstwach Stanów Zjednoczonych, z podwyżki przeto ceł ona również skorzysta. Jeżeli tedy nie wyłącznie, to najboleśniej byłyby ugodzone Niemcy, których inne państwa ratować nie myślą. Tak brzmi wywód, usprawiedliwiający bezczynność Europy wobec skierowanych przeciw niej zamiarów amerykańskich. Jest on niewątpliwie „robieniem dobrej miny na złą grę.“ Zarówno bowiem Anglia i Francya, jak Niemcy Włochy, Holandya, Belgia i t. d. doznają wielkiego uszczerbku na zamknięciu im olbrzymiego rynku zamorskiego, a jeżeli yanke'om nie chcą odpłacić pięknem za nadobne, to tylko dlatego, że pozostają z sobą w milczącej wojnie ekonomicznej i że nie postępują solidarnie w żadnej sprawie. Właśnie to rozbicie się Europy wobec Stanów Zjednoczonych najlepiej świadczy, do jakiego stopnia jej państwa żyją w powaśnieniu i niezgodzie, jak trudno dziś zestroić w niej najluźniejszy „koncert polityczny.“ Uciecha z cudzej szkody, nawet połączonej z własną, stanowi obecnie najsilniejszą pobudkę działań politycznych. Francya nie wystąpi przeciw wrogowi Niemiec, chociażby on i z nią walczył, bo ona ich zło gotowa zawsze opłacić swojem dobrem. Naodwrót Niemcy nie poprawią interesów Francyi — i tak dalej. Na tej sprzeczności dążeń i nienawistnych przeciwieństwach Stany Zjednoczone oparły swój plan wojny ekonomicznej z Europą, który w tych warunkach obiecuje im zupełne powodzenie i poważne zyski. Gdyby spodziewały się zbiorowego odwetu ze strony portów europejskich zarówno dla swych materyałów surowych, jak i wytworów fabrycznych, nie ściągnęłyby tak śmiało na siebie burzy. Ale one widzą, że „przyjacielskie stosunki“ mocarstw są tylko pustym frazesem, a osławiony „koncert“ — dziką muzyką, w której każdy gra co innego na swym instrumencie.

A Niemcy, najbardziej zagrożone bilami amerykańskimi? Przedewszystkiem unikają one dziś starcia z kimkolwiek, a następnie działając w odosobnieniu, mogą tylko osłabić swój handel, nie wytworzywszy dla Stanów Zjednoczonych skutecznej przeciwwagi. Zwrócą się bowiem do innych przystani, francuskich i angielskich, skąd będą zasypywać i zalewać rynki towarem.

Jest to wszakże tylko położenie tymczasowe. Kiedyś, skoro ułagodzą się pretensye i waśnie polityczne, Europa pomyśli o łącznej obronie ekonomicznej wobec Ameryki.

LISTY SPOŁECZNO-POLITYCZNE O FRANCYI.

Sesya parlamentarna dobiegła swego kresu. Bezsilność, na którą poprzednia Izba chorowała, powtarza się w obecnej co do joty. Wszystkie obietnice, które słyszeliśmy po głównych wyborach, spełzły na niczem: oprócz nieznacznego prawa fabrycznego, o którem pomówimy w następnym liście, przeprowadzono tylko kilka nowych baryer celnych dla kukurydzy i rodzynek. Oto rezultat pracy całorocznej (następna sesya rozpocznie się dopiero w zimie). Wprawdzie nie obalono żadnego ministeryum, ale trudno to policzyć na karb zalet.

Aby zrozumieć niemoc Izby francuskiej, musimy w kilku słowach scharakteryzować stosunki wewnętrzne. W ciągu dwudziestoletniego istnienia Rzeczypospolitej, rydwan postępu wlecze się we Francyi nader powolnym krokiem, często też grzęźnie w błocie. Bieg jego powstrzymuje olbrzymi balast ciemnoty prowincyonalnej. Jedyny postępowy pierwiastek parlamentu stanowią radykaliści. Są to przedstawiciele drobnego mieszczaństwa, które, będąc reakcyjnem w ekonomii, jest nadzwyczaj postępo-

wem w polityce. Jedyna to siła, która, obok robotników, stać będzie niezłomnie na straży instytucyj republikańskich, stanowiących niezbędny warunek dalszego spokojnego rozwoju Francyi. Chłopstwo, jak na urągowisko wszelkiego rodzaju pewnym „demokratom,“ cofa się coraz bardziej wstecz, ciąży do monarchii i ma swych przedstawicieli jedynie w reakcyonistach rozmaitych odcieni (orleaniści i bonapartyści). Co się zaś tyczy mieszczaństwa średniego i wielkiego, to myśli ono tylko o utrzymaniu „porządku,“ któryby pozwalał mu zapuszczać pompę wyzysku w masy pracujące i dlatego gotowe jest każdej chwili frymarczyć Rzeczpospolitą.

Ludność miejska skupiała dotychczas swe nadzieje na radykalistach. Liczba tych ostatnich wzrosła początkowo w Izbie nadzwyczaj szybko. Nadawało to pewne pozory prawdopodobieństwa nadziejom, iż z naturalnym rozwojem stosunków władza musi przejść do rąk Clémenceau lub Floqueta. Rzeczywistość zadała nadziejom tym kłam najzupełniejszy. Ludność miejska jest zbyt nieliczna, by mogła przeważyć nacisk chłopstwa i rządów konserwatywnych lub umiarkowanych. Natężywszy wszystkie siły, można było wprowadzić do parlamentu około dwustu radykalistów — ale więcej ani rusz! Przeciwnie, liczba ich przy ostatnich wyborach spadła. Biuletyn wyborczy okazał się bronią zbyt słabą dla wywalczenia reform. Tymczasem radykaliści parlamentarni taktyki swej zmienić nie myślą. Jeżeli władza tylko przemyka się przed pożądliwem ich okiem, to jednak nie cierpią oni mąk Tantala. Dwie — trzy teki, dużo wpływu, urzędów i synekur — oto czem pocieszają się w swej pozycyi wyczekującej. Przytem rutyna zasyca ludzi. Pan Clémenceau i jego wierni przekonali się, iż milej można spędzać czas za kulisami teatrów, w towarzystwie wesołych dziewcząt, niż prowadząc czynną walkę, któraby z konieczności przeszła na ulicę.

Reakcya musiała wybuchnąć: ponieważ droga legalna do niczego nie prowadzi, spróbowano drogi gwałtownej. Nie ulega wątpliwości, iż bulanżyzm był w początkach swych ruchem czysto demokratycznym i rewolucyjnym. Ludność miejska, robotnicza, znużona dreptaniem na jednem miejscu, dzięki przewadze chłopstwa, kierowanego przez kler, domaga się władzy, dyktatury ostatecznej miasta nad wsią. Władza państwowa w ręku demokracyi miejskiej byłaby tą dźwignią, któraby szybko zreformowała społeczeństwo, oświeciła chłopstwo i uwolniła je z pod ogłupiającego i demoralizującego wpływu czarnej międzynarodówki. Innego wyjścia niema: chłop będzie zawsze głosował za reakcyonistą, gdyż inaczej ksiądz nie da rozgrzeszenia, przekazu na rozkosze pozagrobowe. Paryż ofiarował odrazu Boulangerowi 250 tysięcy głosów. Ale „piękny generał“ nie dorósł do stanowiska, jakie mu historya wyznaczyła. I on obrał drogę, po której radykaliści kroczyli: drogę, wysłaną przez buletyny wyborcze. Czując wszakże niedostateczność głosów demokracyi, chciał ją zespolić z głosami chłopstwa. Manewr się nie udał i nie mógł się udać. Paryż jest zbyt dojrzałym politycznie, aby nie zrozumieć całego niebezpieczeństwa tej polityki i opuścił awanturnika, który wnet utonął w fali zapomnienia.

Położenie zostało więc bez zmiany. Władza i nadal znajduje się w ręku średniego i wielkiego mieszczaństwa, oportunistów i lewego środka (centre gauche). Ten ostatni składa się z zakapturzonych orleanistów, godnych uczniów Thiersa, którzy chwilowo kryją się pod cieniem Rzeczypospolitej. Panowanie tych partyj w zupełności objaśnia nam zastój polityki francuskiej i bezsilność parlamentu. Widmom tym trzeba tylko „porządku,“ któryby pozwolił zapuszczać coraz głębiej ssawki w masę wyzyskiwaną. Dla takiej roboty trzeba szukać sojuszników na prawo. To też p. Constans, właściwy sternik nawy państwowej, umizga się do prawicy, która zaloty te przyjmuje nader wdzięcznie. Stawką tej gry są prawa o uświeckczeniu szkoły. Prawica obiecuje swe poparcie za ich zniesienie lub uśmierzenie. Prawa te były w ubiegłym miesiącu jeszcze raz przedmiotem wściekłej napaści ze strony reakcyonistów, ale na szczęście odparto je zwycięsko. A mianowicie mgr. Freppel zażądał wprowadzenia *referendum* w kwestyach municypalnych. Jest to konsekwentny rozwój tych dążeń do samorządu miejscowego, któremi monarchiści francuscy wciąż się kierują.

Bezpośredni powód do wystąpienia znanego biskupa był następujący: w miasteczku Vicq (dep. Haute Marne) szkoła na zasadzie prawa miała przejść do rąk nauczycieli świeckich — dotychczas była w ręku kleru. Chłopstwo stawiało temu czynny opór. Trzeba było sprowadzić wojsko i poturbować dzicz, podłechtywaną przez drogich „braciszków,“ którzy tracili jeszcze raz możność ogłupiania dzieci i praktykowania na nich pederastyi. W obradach, które się odbyły z powodu propozycyi Freppela, reakcyoniści dowodzili, iż są ofiarą najohydniejszej tyranii. O, niewinne gołąbki, brzydzące się tyranią! Nie ulega wątpliwości, iż padliście jej ofiarą, ale dlatego właśnie niechaj będzie błogosławiona. Jest to dyktatura Paryża nad prowincyą. Dyktatura zbawienna! Społeczny rozwój Francyi przedstawia nam wspaniałe obrazy zwycięztwa światła nad ciemnotą. Rozwój ten zaciska coraz bardziej węzły centralistyczne i spędza prowincyę z areny życia publicznego. Wszystkie sprawy charakteru ogólnego załatwiane są przez rząd centralny, sprawy zaś miejscowe—rozstrzygane przez lokalne ciała prawodawcze (Conseils generaux i Conseils municipaux), podlegają wszakże rewizyi i kontroli tegoż rządu, czy to bezpośrednio, czy też za pośrednictwem prefekta. Jest to niewątpliwie dyktatura. Ale tylko jej zawdzięczamy takie np. prawo o świeckości szkół.

Reakcyoniści, którzy dotychczas grali rolę nieprzejednanych i w żadne układy z istniejącym porządkiem wdawać się nie chcieli, obecnie, jakeśmy to wyżej nadmienili, gotowi są do ustępstw, a niektórzy nawet powkładali już republikańskie kapoty i obiecują popierać rządy umiarkowane, jeżeli one zapewnią im tylko autonomię gmin, a jeszcze lepiej — *referendum* w sprawach miejscowych. Wówczas kwestya świeckości szkół dla większej połowy kraju poszłaby w kąt i Francya cofnęłaby się o 20 lat wstecz, tracąc tę jedyną zdobycz, którą w ciągu istnienia trzeciej Rzeczypospolitej odniosła.

Constans, znajdujący się obecnie u steru rządów francuskich, zdoła się utrzymać przy władzy, tylko oparty na połączeniu reakcyi wielkiej barwy; to też gotów poczynić dla niej ustępstwa w duchu autonomii. Można sobie wyobrazić, jak mu nie na rękę wypadła cała sprawa z Vicq. Bronił postępku prefekta, który sprowadził żandarmów nie ze stanowiska zasad, lecz jedynie jako „wierny wykonawca litery prawa.“ A gdy p. de Lamavzelle się odezwał, że gdyby w ministeryum oświaty zasiadał p. Constans, nie zaś p. Bourgeois (radykał), cała sprawa nie miałaby miejsca, to minister sprawy wewnętrznych na tę obraźliwą dla republikanina insynuacyę odpowiedział wymownem i wiele obiecującem dla religii milczeniem.

Ale na szczęście Paryż jeszcze istnieć nie przestał i nie wyrzekł się swych obowiązków i praw przewodniczenia nad prowincyą, swej dyktatury nad nią. Nic słuszniejszego pod słońcem! Chłopstwo francuskie podczas wielkiej Rewolucyi stanęło w obronie panów i kleru i gwałtownie domagało się obroży, którą mu dyktatura Paryża

NA REGATACH.

— Nie — odrzekł biskup — już nigdy potem nie byłem na wielkich regatach od dwudziestu pięciu lat. Spotkał mnie wówczas przypadek, który mi je obrzydził.

— Opowiedz nam, ekscelencyo, opowiedz — zawołał Blayden of Brasenose, bardzo ciekawy i uparty towarzysz.

Do nas zaś, którzy wraz z nim siedzieliśmy „u stóp naszego biskupa,“ mawiał on zwykle:

— Jeżeli mi pozwolicie zmusić biskupa do opowiedzenia nam po jedzeniu długiej historyi, to zawsze dostaniemy kilka szklanek starego portweinu więcej, niż go pić wolno w pałacu biskupim.

Kapelan domowy biskupa poruszył się niespokojnie na swem krześle. Ów Blayden bowiem był nieopisanie bezmyślnym uczniem, który często dawał powód do niezadowoleń.

— No, no—rzekł biskup—nie był to znowu tak nadzwyczajny przypadek, ale... hm... mógł stać się nieprzyjemnym.

Naturalnie zrobiliśmy możliwie uważne miny. Nasz pan i mistrz założył jedną nogę na drugą, pogładził wypieszczoną ręką białe faworyty i zaczął:

— Wiecie panowie, że przed dwudziestu pięciu laty byłem niższym nauczycielem w kolegium hugborskim; stamtąd — jak wam również wiadomo — przeniesiono mnie na posadę wyższego nauczyciela do... Sześciu tedy nas młodszych pedagogów udało się na regaty. Wyjechaliśmy w najlepszem usposobieniu. Dziś jeszcze przypominam sobie, że między Kings Cross i Putnez do naszego wagonu wsiadło trzech mężczyzn, którzy natychmiast zapropono-wali nam grę w karty.

— I mylord zgodził się? — zapytał niepoprawny Blayden.

Biskup zmarszczył brwi, nie zważając jednak na tę przerwę, ciągnął dalej:

— Nie wdawaliśmy się z nimi, oprócz jednego, który nazywał się Smitson. Był on przytem tak wzburzony, że o mało nie przyszło do bójki. Smitson był zawsze kłótnikiem—zresztą najlepszy wioślarz w Cambridge, zdobył nagrodę w nr. 4. Jest to ten, o którym mówi się, że...

Tu kapelan domowy zakaszlał lekko, ale znacząco.

— Właściwie wiadomość to dla was obojętna, w każdym razie jest on dziś jednym z najdzielniejszych wioślarzów Yorkshiru— rzekł biskup i napełnił sobie szklankę portweinem, który stał przed nim w kryształowej karafce.

Za jego przykładem poszedł natychmiast Blayden, rzuciwszy nam tryumfujące spojrzenie. Miał on w sobie mało szacunku.

— Nie umówiliśmy się wcale — opowiadał dalej — skąd przypatrywać się będziemy regatom, a skutkiem tego, zanim dotarliśmy do mostu Hommersmithowskiego, nadzwyczajny tłok nas rozdzielił. Każdy naturalnie starał się o zdobycie miejsca, z którego mógłby najlepiej widzieć. Za dziesięć minut — jak obwieszczono — miały rozpocząć się wyścigi; ogólne więc podniecenie wzrastało z każdą chwilą. Po wielu wysiłkach przeciśnięcia się, przybyłem na miejsce, niezbyt zajęte przez powozy; ale właśnie kiedy przesuwałem się między dwoma końmi, jeden z nich, spłoszony, wspiął się na tylnych nogach i zaczął przedniemi tak szalenie wymachiwać w powietrzu, że najbliżej stojącym napędził strachu, który rozszerzył się dalej popłochem. Ludzie krzyczeli, uciekali, popychali się, czem tylko pogorszali sprawę i trwożyli inne konie, a skoro ktoś został zraniony,

zdjęła; chłopstwo zgnębiło we krwi ruchy robotników paryskich z lat 1848 i 1871. Po karkach chłopstwa Napoleonowie pięli się do władzy. Obecnie jeszcze bonapartyści są partyą „Appel au Peuple." Tak, zbawienie Francyi zawiera się tylko w Paryżu i jego dyktaturze. Ona odeprze obecne intrygi reakcyi i ona doprowadzi do wyzwolenia masy cierpiącej i uciemiężonej.

Leon Winiarski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Tłum zawsze urządza owacye każdemu i wszędzie, ile razy ma ku temu sposobność. Więc w Ostendzie zapomniał o swych sympatyach francuskich i okrzykiwał cesarza niemieckiego. Wilhelm II już zdążył wrócić z Norwegii, odwiedzić króla Leopolda i odjechać do Anglii. Niepodobna byłoby tych forsownych i ustawicznych jego podróży wytłomaczyć sobie bez przypuszczenia jakiejś wewnętrznej potrzeby, jakiejś namiętności, z którą polityka wiąże się tylko przypadkowo i dość luźnie. Niektóre dwory bowiem monarcha niemiecki odwiedza ponownie i bez widocznego interesu. Przypomina on pod tym względem szacha perskiego, który również lubi „zdala od kraju rozmyślać nad sprawami swego państwa."

Co prawda, niema obecnie Wilhelm II ważnych zajęć w domu. Maszyna rządowa działa prawidłowo, parlament rozpuszczony, Bismark już wszystkich znudził, a na domiar dobrego socyalno-demokraci kłócą się i rozszczepiają na sekty.

Staro-czesi, którzy do niedawna byli solą swej ziemi, roztapiają się tak szybko we wrzątku młodoczeskim, że wkrótce nie będzie ich można wykryć w narodzie najczulszym odczynnikiem. Szeregi ich przerzedzają się z dniem każdym; maluczko, a zbraknie ręki, któraby trzymała ich chorągiew. Nawet dawna ich trąba obozowa, *Politik*, zaczęła wygrywać pobudki i hymny młodo-czeskie. Naturalnie o zgodzie z niemcami już gile świergotać nie chcą.

Ks. Koburg ciągle nurkuje, to zanurza się, to wypływa w jakiejś okolicy, ale do kraju nie wraca. Widocznie wbrew zapewnieniom stanęły mu na drodze Scylla z Charybdą, między któremi przemknąć się nie może. Pogłoska zapewniała, że Battenberg wszedł znowu w sferę poważnych kombinacyj dyplomatycznych, jako kandydat do tronu bułgarskiego. Tymczasem *Nord* oświadczył, że dla Rosyi wart on tyle, co Koburg.

Nareszcie po długiem rozmyślaniu Porta zamianowała dwu biskupów bułgarskich w Macedonii.

Jak zaznaczyliśmy w numerze poprzednim, wyłonić prawdę ze sprzecznych wiadomości o stanie Argentyny jest niepodobieństwem. Jednego dnia prezydent Celman upewnia, że bunt został stłumiony, a drugiego dowiadujemy się, że powstańcy mają dotąd nad rządem przewagę. Było tam dużo szachrajstwa w gospodarce finansowej, a teraz jest w sprawozdaniach o wojnie domowej.

Ze wszystkich tedy stron brzmią hasła pokoju, do którego dołączył się głos jego „przyjaciół," obradujących w Londynie. Głos ten jednakże nie znalazł w owym pokoju rezonansu dla swych marzeń o międzynarodowych sądach rozjemczych.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Z POWODU NOWYCH TARYF PRZEWOZOWYCH.

Na pozór zdawałoby się, że wszelkiego rodzaju proktekcyonizmy i ograniczenia państwowe nie licują z naturą kapitału, że są raczej wynikiem obcej mu polityki fiskalnej, niż wytworem jego własnych dążności i potrzeb.

Kapitał i „wolność" ekonomiczną, jako rzeczy historycznie z sobą sprzężone, przyzwyczailiśmy się uważać za warunkujące wzajemnie swoje istnienie.

Tymczasem natura kapitału jest ogromnie zmienną, i jeżeli w Anglii stawia on swobodę handlu międzynarodowego, jako jeden z głównych dogmatów swej religii, to znowu w Europie środkowej i wschodniej prowadzi, zupełnie zgodną ze swymi interesami politykę ceł i taryf ochronnych. Zmiany te powodują odmienne warunki, wśród których kapitał musi żyć i rozwijać się.

Nie mówiąc o tych okresach, kiedy nowoodkryte „dziewicze" rynki doprowadzały go do prawdziwych orgii, jest on zwykle bardzo przezornym i jak może unika wszelkiego ryzyka. O ile więc przedsiębiorstwa mające przestronny rynek, zbytu i dogodną komunikacyę, wywierają na niego silny wpływ przyciągający, o tyle znowu nieodpowiadające tym wymaganiom są przez niego starannie unikane. Tem tylko tłomaczyć można, dlaczego naprzykład takie przedsiębiorstwa galicyjskie albo wcale powstać nie mogą, albo też pędzą marny żywot poronionych płodów kapitalizmu, wobec tego, że rynek wewnętrzny zapchany towarami przemysłu wiedeńskiego i czeskiego, ograniczony nizkim stopniem kultury, pozostawia bardzo wązkie ujście wyrobom krajowym. W podobnych zjawiskach niezawsze nawet odgrywa znaczącą rolę brak miejscowych kapitałów lub specyalnego uzdolnienia ludności; jeżeli w danym kraju pewne przedsiębiorstwa mają rynek obszerny, tanią siłę roboczą i dogodną komunikacyę, to kapitały przywędrują do nich chociażby z najbardziej dalekich stron, wiodąc za sobą cały sztab uzdolnionych techników, administratorów, nawet rzemieślników. Tak np. kapitały francuskie wyczerpują żelazne pokłady gub. ekaterynosławskiej, amerykańskie—naftę kaukaską, niemieckie przeważają w produkcyi okręgu sosnowieckiego itd. W krajach młodych ekonomicznie, z produkcyą przeważnie rolniczą, w których rynek zwężony nizkim stopniem kultury miejscowej i taniością sił roboczych, jest przytem jeszcze ściśnięty konkurencyą potężnych przedsiębiorstw zagranicznych, kapitały dla rozwoju samodzielnego potrzebują monopolu „narodowego" a polityka protekcyonizmu jest tutaj równie zgodną z ich interesami, jak polityka wolnego handlu dla kapitałów angielskich. Protekcyonizm przez to jest dla nich użyteczny, że zwiększa pojemność miejscowego rynku. W większości wypadków stanowi on jednak broń obosieczną, a z jego dobroczynnych skutków mogą korzystać tylko niektóre przedsiębiorstwa. Naprzykład, wysokie oclenie materyałów chemicznych powołało wprawdzie do życia krajowy przemysł chemiczny, szkodziło jednak przedsiębiorstwom, używającym ich jako materyałów pomocniczych; podobnież wysokie oclenie węgla, żelaza, miedzi, ołowiu, tamowało pomyślny rozwój przemysłu przerabiającego te metale, wobec niedostateczności eksploatacyi miejscowej. Wogóle biorąc, żadna taryfa celna nie może dojść do tej doskonałości, aby równomiernie zabezpieczała interesy wszystkich współzależnych od siebie przedsiębiorstw; zwykle zaś działa ona w taki sposób, że z pewnych tylko gałęzi produkcyi czyni silne punkta atrakcyjne dla kapitałów, obdarzając inne niemocą. Dalszym skutkiem tego bywa nadprodukcya w protegowanych przez tary-

---

wrzask wzmógł się jeszcze bardziej. Wpadłem w przerażoną ciżbę, zaledwie mogłem utrzymać się na nogach, tłum prawie unosił mnie.

Nagle usłyszałem przeraźliwy i rozdzierający wrzask blizko moich uszu, że, o ile mogłem, odwróciłem się przestraszony.

— Moje dziecko! moje dziecko! — krzyczała jakaś młoda kobieta, wyglądająca na sklepikarkę.

Olbrzymi, obok stojący kominiarz, tak ją przycisnął do mnie, jak gdyby z nas obojga chciał zrobić miazgę. Z całej tej krzyczącej osoby dojrzeć zdołałem zaledwie kapelusz, obficie przybrany niebieską wstążką i niezapominajkami i również wrzeszczące, zgniecione niemowlę, które ona rozpaczliwie trzymała w górze po nad wyjącym, falującym i przesuwającym się tłumem. Jest to rzeczywiście hańbą brać tak wątłe istoty w ciżbę; ale skoro to już się stało, cóż było począć?

— Wziąć kobietę wraz z dzieckiem w ramiona i obronić — zawołał wzburzony Blayden.

Kapelan domowy znowu musiał zakaszlać, a biskup mówił poważnie:

— Nie mogłem tego zrobić, bo nie posiadałem twojej herkulesowej siły, Blaydenie. Uczyniłem, co było w mojej mocy: uwolniwszy z wysiłkiem ręce, które mi przytłoczono do ciała, pochwyciłem dziecko i uniosłem wysoko nad moją głowę. W tejże chwili od brzegu nacisnęło nas kilkaset ludzi, których przeładowany statek zanurzył się. W mgnieniu oka rozparli nas tak, że straciłem z widoku matkę kwilącego dziecka. W każdym razie nie mogła ona być daleko, odetchnąwszy więc nieco, zacząłem jej szukać. Istotnie spostrzegam niebieski kapelusz z wiankiem niezapominajek o 50 stóp ode mnie, ale jego posiadaczka z każdym krokiem odsuwała się ode mnie i swego potomka.

Nagle błysnęła mi w głowie myśl: a może ta kuta baba chciała się pozbyć swego ciężaru i mnie wybrała sobie na ofiarę?

Z odwagą, której mi dodała rozpacz i gniew, rzuciłem się nazad w tłum, krzycząc i machając niemowlęciem w powietrzu: długo jednakże to trwało, zanim nakoniec cel mój osiągnąłem. Przytrzymawszy kobietę w niebieskim kapeluszu za rękaw, z zapartym od biegu i krzyku oddechem, wcisnąłem jej kwilące dziecko w ręce. Ale ku mojemu wielkiemu zdumieniu nie objawiła ona żadnej chęci przyjęcia go, i byłoby upadło na ziemię, gdybym go nie pochwycił. Kobieta spojrzała na mnie ze zgrozą, a jakiś mały mężczyzna, który jej towarzyszył, zaczął wywijać parasolem i wzywać policyi.

— Ależ weź pani swoje dziecko! — zawołałem — które mi oddałaś!

Naturalnie około nas zgromadzili się widzowie, a ja wreszcie dostrzegłem, że popełniłem straszną omyłkę: niebieski kapelusz bowiem okrywał głowę innej osoby, należącej widocznie do lepszej klasy, niż ta kobieta, której chciałem zwrócić jej żywy pakunek.

— Dziecko to nie jest pani — wybąknąłem; dała mi je jakaś kobieta w niebieskim kapeluszu.

„Waryat" — rzekł ktoś z tłumu. „Biedak" — dodał drugi. Zgromadzeni rozstąpili się — przybyła policya. Ale jednocześnie zabrzmiało z tysiąców piersi wołanie, które popłynęło formalnym rykiem: „Jadą, jadą! Zaczyna się!" I wszyscy pobiegli ku rzece, ażeby przynajmniej dojrzeć barwy przepływających zapaśników wioślarskich. I znowu zostałem sam z dzieckiem na ręku, nagle tak przez wszystkich opuszczony, że gdybym je był wrzucił do rzeki, nikt by nie dostrzegł, gdyż uwagę ogólną pochłonęły łodzie; nawet policyanci zniknęli. Na prawo ode mnie stał wielki, otwarty powóz; znajdowały się w nim rozmaite damy, które

łę przedsiębiorstwach, nadprodukcya kończąca się zwykle przesileniem, a mająca dla kapitalistów to znaczenie wychowawcze, że kształci ich zdolności spekulacyjne w fałszowaniu towarów i wyzyskiwaniu sił roboczych.

Poprzednie dwudziestolecie 1857—1877 w Rosyi było okresem umiarkowanych ceł; kapitały zbyt słabe jeszcze, bały się wygórowanym protekcyonizmem zmonopolizować sobie rynek krajowy; ich siły wytwórcze nie były jeszcze zdolne wystarczyć wszystkim jego zapotrzebowaniom, dlatego też dopuszczanie zagranicznych produktów było koniecznością. Oclenie wytworów fabrycznych nie przewyższało wtedy 25—35% od ceny. Dowóz metalów zagranicznych, takich jak miedź, żelazo, surowiec, ołów, opodatkowany był w małym stopniu; odpowiadało to zupełności siłom wytwórczym ówczesnego przemysłu metalicznego, którego $^4/_5$ koncentrowało się na Uralu, w zakładach posługujących się węglem drzewnym i pracą chłopów pańszczyźnianych, odsiadujących tu karę za przewinienia. Stopniowe wycinanie pobliskich lasów, trudność komunikacyi, gwałtowny ubytek siły roboczej pańszczyznianej wskutek reformy—wszystko to tamowało rozwój produkcyi uralskiej, normując jednocześnie wysokość ceł metalicznych. Dopiero z pojawieniem się w południowej Rosyi nowych ognisk przemysłu żelaznego, wzrastać zaczął protekcyonizm taryfy dowozowej. Również niskie, w porównaniu z dzisiejszemi, były cła na maszyny, oznaczone na 10—15% od ceny (co w stosunku do obecnych czyni je 8—10 razy mniejszemi); cło na przędzę bawełnianą, oznaczone na 3 rs. 25 od puda (dzisiejsze wynosi 5—6 rs.); cła od wszelkiego rodzaju tkanin, mniejsze o 50% od dzisiejszych, itd. Wzrost sił wytwórczych jaki się w tym okresie dokonał, podnoszący wartość rocznej produkcyi z 150 do 450 milionów rs., a produkcyjność pojedyńczego robotnika z 300 do 870, umożliwił wzmocnienie protekcyonizmu, które, począwszy od 1877 roku, podnosili stopniowo, lecz ciągle. W r. 1877 w celach czysto finansowych, ustanowiono cła w złotej walucie, skutkiem czego podniosły się one o 50%; w 81 r. podwyższono je bezpośrednio o 10%, w 85 r. o 20—25%.

Ten wzrost protekcyonizmu już w pierwszem 10-leciu (1878—1888 r.) wywołał nadprodukcyę w przemyśle bawełnianym. Przywóz roczny bawełny z 3 milionów pudów podniósł się do 6,350000, nie licząc dostarczonej ze środkowej Azyi. Temu nadmiarowi produkcyi nie mógł odpowiadać popyt na tkaniny bawełniane; rynek został przeładowany, nad przemysłem zaciążyło przesilenie urzędowo stwierdzone w 1884 roku. Fabrykanci rosyjscy ratowali się, jak mogli, od bankructwa, i mimo swej „słowiańskiej dobroduszności“, mimo wymyślań na „zgniły zachód“, powtórzyli na własny sposób zagraniczne szalbierstwa. Rozpoczęło się na wielką skalę fałszowanie towarów; liche gatunki bawełny, farby pełznące, jarmarkowe „liniuczki“, ratowały interesy przedsiębiorców. Jednocześnie zaprowadzono systematyczne uszczuplanie zarobków za pomocą kar, których jakość i ilość podniosła się w czwórnasób, oraz wszelkiego rodzaju „obrywań“ przy wypłacie. Nabywcy „liniuczek“ pozostali cierpliwi, lecz robotnicy odpowiedzieli oporem, jak w zakładach Morozowa i innych. Nie zwracając uwagi na tego rodzaju niedogodności, idąc za swą główną ideją przewodnią—zwiększenia rynku dla krajowych przedsiębiorstw, protekcyonizm wzrastał ciągle i dziś jesteśmy wobec nowego jego objawu—*taryf przewozowych*. Nowa ustawa ogłasza dla kolei żelaznych minimalne normy kosztów transportu towarów do wnętrza kraju. Dotychczas działo się w taki sposób, że z powodu konkurencyi dróg żelaznych pomiędzy sobą, z powodu przewagi—ruchu wywozowego nad przywozowym, wobec czego wracała znaczna liczba wagonów nieobładowanych, koszta przewozu towarów zagranicznych na rynek krajowy spadły niesłychanie nizko. Zmniejszenie się kosztów transportu przeciwdziałało skuteczności ceł ochronnych, obniżając na rynkach rosyjskich ceny wyrobów zagranicznych. Temu właśnie ma zapobiedz nowo ogłoszona taryfa. Z jednej strony usuwa ona całkowicie dowolną konkurencyę dróg żelaznych, z drugiej tamuje zbytnie zniżanie się cen przewozowych, utrudniając tym sposobem towarom zagranicznym dostęp na rynek krajowy. Dla wszystkich pogranicznych linii kolejowych została zaprowadzona jednakowa taryfa zasadnicza. Ceny przewozu towarów od portów i stacyi pogranicznych zachodnich do Moskwy, na przestrzeni do 1000 wiorst mają być normowane w taki sposób, że każda wiorstowa przewyżka ponad odległość 625-wiorstową, objętą w taryfie zasadniczej, opłacana będzie po $^1/_{30}$ k. do $^1/_{125}$ k. od puda, według jakości towarów; zaś na przestrzeniach większych od tysiąca wiorst, po $^1/_{100}$—$^1/_{150}$ k. od puda. Tym sposobem zwiększy się znacznie koszt przewozu towarów do wnętrza kraju, szczególnie zaś do centralnych i wschodnich gubernii państwa i cel utrudnienia współzawodnictwa zagranicznym przedsiębiorstwom zostanie bezwarunkowo osiągnięty. Z tego tylko punktu możemy dziś oceniać przyszłą działalność nowej taryfy przewozowej; będzie ona dogodnym puklerzem dla kapitalistów, rozszerzy jeszcze bardziej rynek zbytu dla ich towarów, powoła do życia pewne gałęzie przemysłu, inne obarczy nadprodukcyą, sprowadzając wynikające ztąd skutki, a w każdym razie przyczyni się do przetworzenia Rosyi w samodzielny organizm wytwórczy.

Nie możemy jednak zbytnio przeceniać znaczenia jej dla rozwoju kapitalizmu miejscowego. Pewne przedsiębiorstwa mogą być z przyczyn czysto wewnętrznych nieudolne do dalszego rozwoju i najbardziej wygórowany protekcyonizm nie zastąpi takich zasadniczych warunków, jak dogodność obiegowego systemu towarów, stałość pewnych potrzeb rynkowych, wyższy poziom kulturalny zapotrzebowań itd.

Z drugiej strony, drobny przemysł ruski konkuruje jeszcze poważnie z ogniskami wielkiego, zwężając rynek dla jego wytworów; a zjawisko to chociaż nie jest zdolne zepchnąć Rosyę z ogólno-ewolucyjnej drogi, tamuje jednak szybsze przejście jej sił wytwórczych do wyższej formy produkcyi. Dotychczas ma ono swoje trwałe i naturalne przyczyny w samem rozmieszczeniu wytwórców i spożywców, w istnieniu całej masy okręgów, nietkniętych jeszcze przez cywilizacyę, z trudnym dostępem dla oddalonych ognisk fabrycznych, przez co ceny ich towarów, nabrzmiałe kosztami przewozu, nie są w stanie taniością swą wyprzeć z tamecznych rynków miejscowe wytwory drobnego przemysłu. Wobec takiej złożoności warunków, sam protekcyonizm nie jest jeszcze w stanie zapewnić szybkiego rozwoju kapitalizmowi ruskiemu; roztacza on swoją opiekę nad całością produkcyi krajowej, bez względu na to, w jakiej się formie ona przejawia i żadnej z nich nie protegując wyłącznie. „Kustarny“ i kapitalistyczny przemysł jednakowo mogą w nim widzieć ochronę dla swego bytu i zabezpieczenie dalszego rozwoju.

Nowe taryfy przewozowe nasunąć mogą jeszcze innego rodzaju wnioski. Opłaty przewozu na drogach żelaznych, wzrastają w kierunku Moskwy. Ciężar ich więc obarczy nie tylko zagraniczne towary, lecz i krajowe, wytwarzane w okręgach fabrycznych kresowych, a mające odbyt na rynkach wielkoruskich. Możnaby więc przypuszczać że w skutkach nowej ustawy, ujawni się pewnego rodzaju monopolizm przemysłu centralnych gubernii, wywoływany już oddawna petycyami fabrykantów moskiewskich; obecnie jednak przypuszczenie to nie może mieć jeszcze cech pewności, wobec tego, że w cyrkularzu napotykamy ogólnikowe zastrzeżenie przeciw powszechności stosowania nowej taryfy i dopuszczanie pewnych wyjątków, nie wyjaśnione zresztą dostatecznie.

A.

---

stały na siedzeniach i ze skręconemi szyjami w nadzwyczajnem podnieceniu nie zważały na nic, tylko na przelatujące błyskawicznie łodzie. Nikt również nie widział mnie. Popchnięty natchnieniem chwili, zbliżyłem się z tej strony do powozu, którą nie był zwrócony ku rzece i złożyłem mój ciężar na siedzeniu. Na szczęście dziecko nie zakrzyczało, ale — trwoga przeszyła mi serce — zauważono mnie. Jakiś chłopiec podsunął się cicho i zwinnymi palcami ściągał kosztowny szal, pozostawiony na przedzie powozu. W tej chwili cisnął mi się na usta krzyk: łapcie złodzieja! — ale chłopiec dyabelsko sprytnem spojrzeniem ostrzegł mnie i zrozumiałem, że nasze zobopólne bezpieczeństwo wymaga milczenia. Ja, wspólnik zbrodni! Wioślarze przepływali, podczas gdy ja z mym *particeps criminis* umykaliśmy. Pojechałem prosto do Londynu — było to najlepszem, co mogłem zrobić — oburzony widokiem każdego niebieskiego kapelusza, drżący przy zbliżeniu się policyanta. Kto wie? Może byłem w błędzie, a zrozpaczona matka szukała swego dziecka!

Przez całe tygodnie bałem się czytać ogłoszeń w gazetach; ożywiała mnie za tylko nadzieja, że gruba, stara, czerwono ubrana dama, u której stóp złożyłem mój pakunek, była tak miłosierną, jak wyglądała i że zająwszy się dzieckiem, lepiej je wychowa, niż jego własna, lekkomyślna matka.

Cóż innego mogłem zrobić? Nie wypadało mi przecie krzyczącego dziecka wziąć ze sobą do kolegium. Moja reputacya niewątpliwie...

— Doznałaby wielkiego uszczerbku — przerwał Blayden.

Uwaga nie podobała się widocznie biskupowi, zwłaszcza że Blayden zbyt głośno objawiał swe zadowolenie z tego przypadku. Biskup powstał milczący, a kapelan domowy poszedł do kredensu dla zamknięcia wina.

Niepoprawny Blayden nie zauważył wcale ogólnego nieukontentowania, lecz zapytał naiwnie z rozweseloną twarzą:

— Czy mylord nie był jeszcze wówczas żonaty?

— Nie — odrzekł biskup poważnie.

A gdy klucz z lekkim zgrzytem obracał się w zamku kredensu, zdawało się, że słychać jak gdyby szept:

— Nie, dzięki Bogu.

(*St. James Gazette*).

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Lwów, 30 lipca.

Zjazd chirurgów. — Dobrodziejstwa kuli Mannlichera. — Zgromadzenie nauczycieli ludowych. — Poufne załatwienie ważnej sprawy. — Ankieta teatralna. — O górze, która urodziła mysz.

Wstępem niejako do drugiego zjazdu chirurgów było zebranie w hotelu „pod różą“ zarówno uczestników przyjezdnych, jak profesorów i lekarzy tutejszych. Wśród rozmowy spędzono tu kilka chwil przyjem-

nych. Nazajutrz zwiedzono nową klinikę krakowską, która dzięki zabiegom profesora Rydygiera należy dziś do pierwszorzędnych zakładów naukowych. Rydygier sam osobiście oprowadzał grono chirurgów, udzielając szczegółowych objaśnień. W sali wykładowej przystąpiono do prac naukowych i tu zebrali się wszyscy uczestnicy zjazdu. Na ławkach zasiedli także liczni uczniowie tutejszego wydziału lekarskiego.

Pierwsze posiedzenie zagaił prof. dr. Rydygier serdecznem powitaniem. Pierwszy wykład miał dr. Bogdanik z Białej p. t. „Demonstracya pocisków Mannlicherowskich.“ Pociski te nabierają dziś znaczenia historycznego, dlatego powtórzę tu pokrótce wynik jego badań. Do wyrzucania kuli z lufy potrzeba stosunkowo małej ilości, bo tylko 4 gramy prochu. Mimo to biegnie ona na 5,000 kroków z chyżością początkową 530 metrów na sekundę, robiąc 2,120 obrotów około osi długiej. Dodajmy do tego, że żołnierz może dać 40 strzałów na minutę, a będziemy mieli pojęcie o najbardziej dotąd wydoskonalonej broni palnej. Prelegent wykazuje następnie na preparatach anatomicznych, sporządzonych z tych robotników, co padli w Białej od kul Mannlicherowskich, jakie spustoszenie sprawiają one w organizmie. Twierdzi on, że karabinów Mannlichera nie można nazwać bronią ludzką. Kule, wpadające do ciała, mają do 300 stopni gorąca! Po raz pierwszy poległo od nich więcej ludzi u nas w Białej d. 23 kwietnia, gdzie żołnierze 56 pułku piechoty dali do ludności 140 strzałów!.. Prelegent miał wszystkich rannych w swej opiece, sam też robił sekcye zmarłych, stąd zdanie jego posiada cechę wszelkiej dokładności.

Prof. Obaliński wspomniał w dyskusyi o pracach dr. Habardta i Brunsa nad działaniem nowej broni. Bruns doszedł do wniosku, że karabin Mannlichera daje możność chirurgowi do działania leczniczego. Habardt twierdzi przeciwnie, że broń ta sprawia tak znaczne zniszczenia, iż chirurg niewiele ma do roboty. Podczas gdy prelegent zbliża się więcej do zdania Habardta, to krytyk podziela więcej zapatrywania Brunsa i wykazuje, że kulą Mannlichera w przypadku, przytoczonym przez prelegenta, nie została roztrzaskana, lecz tylko przebita łopatka i dlatego wyleczenie było możliwe; przy dawnej broni nie obeszłoby się bez ropienia, a może i odjęcia kończyny. Trafieni postrzałem Mannlicherowskim umierają, ale nie cierpią (i to pociecha!).

Następnego dnia zgromadzili się uczestnicy zjazdu w oddziale chirurgicznym prof. Obalińskiego. P. Bossowski przedstawił tu preparat chorej, u której trzy razy wykonywano otwarcie jamy brzusznej, a która pomimo tych operacyj zmarła dopiero w rok po ostatniej, na suchoty. Z kolei przemawiał dr. Rosner „O odrastaniu wątroby po resekcyi“ z okazywaniem preparatów.

Prof. Rydygier i Obaliński podejmowali potem przybyłych na zjazd lekarzy wspaniałą ucztą. Po pierwszym toaście dr. Jasińskiego z Warszawy nastąpiły udatne improwizacye dr. Podgórskiego i dr. Kohna, którzy porównywali położenie Galicyi do różnych operacyj chirurgicznych... Ostatni toast pito w ręce prof. Cybulskiego, prawdziwego przyjaciela młodzieży lekarskiej.

Cały zjazd nie posiadał nastroju urzędowego, przeciwnie miał cechę koleżeńską, serdeczną i przyczynił się niemało do rozjaśnienia wielu ciemnych zagadnień w zakresie chirurgii.

Zupełnie odmienny charakter miało walne zgromadzenie nauczycieli ludowych w Bochni, zwołane przez Towarzystwo pedagogiczne, urządzające zjazdy co roku w innem mieście prowincyonalnem. Kierownictwo ujęli odrazu w ręce swoje znani pedagogowie (Sawczyński, Baranowski, Gerstman), którzy, jako lojalni urzędnicy, stojący na straży c. k. namiestnictwa, poświęcają im interesy nauczycielstwa ludowego. Przedstawione sprawozdanie z dorocznej czynności chwali się z dokonanych „moralnych prac“ i „intensywnej czujności,“ „statecznego a pomyślnego rozwoju.“ Snać zarząd, spoczywający już od ćwierć wieku w tych samych niemal rękach, a domagający się gwałtownie świeżych sił, zapomniał o zasadzie przyjętej już przez rzymian: *propria laus sordet*. Sprawozdanie wykazuje słabniejący z każdym rokiem ruch kółek pedagogicznych na prowincyi (których mamy obecnie 113, liczących około 2,500 członków), tudzież oddzielenie się Towarzystwa chińskim murem od społeczności.

Z obawy przed zbyt drażliwymi dla sfer wyższych wnioskami nauczycieli wiejskich, nierozumiejących się na wielkiej polityce, przestrzegł wcześnie c. k. krajowy organ szkolny przed wyciąganiem wniosków, a rzesza młodych nauczycieli, skupiając się pod sztandarem postępu i materyalnych interesów biednego nauczycielstwa, tak przeraziła prowodyrów, że z obawy, iżby „zastęp taki przypadkowy“ swymi głosami nie rozstrzygnął rzeczy jaknajniefortunniej, a nawet nie wprowadził do zarządu osób, o których nikt nawet na razie nie myśli,“ żądano zmiany głosowania, chcąc na tej drodze zakneblować usta śmiałkom. Niemiłemi też były zarządowi „krytykowania“; wychodzi on z arcybogobojnej zasady, że „każda jednostka powinna szukać winy w osobie własnej, bo *wszystko zależy od jednostki!*“ Jeżeli więc zgrzeszył, to winni temu członkowie, bo kowala powiesili za to, że zawinił ślusarz.

Zjazd rozpoczął się powitaniem burmistrza staropolskiego miasta górniczego, sławnego już w XIII wieku ze swej żupy solnej. Zachęcał on władnących rządem dusz dziatwy szkolnej, aby nie wypuszczali sztandaru, zatkniętego przez Komisyę edukacyjną, a przekazanego nauczycielstwu konstytucyą 3 maja. Zagaił zgromadzenie Sawczyński, wykazując dowodnie, że „cel Towarzystwa pedagogicznego miał *błogosławieństwo zgóry*, gdyż bez błogosławieństwa tego usiłowania ludzkie idą na marne,“ i przestrzegając nauczycieli, aby „chronili młode pokolenie od zgubnych, szerzących się obecnie prądów.“ Po załatwieniu czynności administracyjnych, wypowiedział inspektor Bolesław Baranowski odczyt „o społecznem znaczeniu nauki dopełniającej dla naszego ludu,“ a brat jego podał kilka wskazówek dydaktycznych przy użyciu świeżo wydanego elementarza, opracowanego przez najlepsze siły nauczycielskie Galicyi. Zwrócono przytem uwagę na nowe wydawnictwo — pierwsze tego rodzaju w Galicyi — p. t. *Obrazy do nauki poglądowej* (serya I), noszące charakter swojski, bo wykonane w kraju i krajowemi siłami, kiedy dotychczas używaliśmy w szkole obrazów, sporządzonych w zakładach niemieckich, z wybitnem piętnem obcem.

Po złożeniu sprawozdania ze stanu bursy, przeznaczonej dla dzieci biednych nauczycieli wiejskich — niestety dają tu utrzymanie tylko 22 wychowańcom — przyszły na porządek dzienny wnioski „oddziałów,“ dążące do polepszenia doli nauczycieli, płatnych u nas niżej sług i woźnych... Zamiast wystąpić energicznie w obronie tych wniosków, oddano je do załatwienia zarządowi głównemu, czyli rzucono do kosza, gdzie od lat kilkunastu spoczywają snem błogosławionych wszystkie wnioski i petycye, dążące do polepszenia nędznego bytu tych biedaków, roznoszących oświatę między ludem. C. k. organa zamiast popierać, usiłowały odwrócić nauczycielstwo od tych „spraw, odnoszących się do nizkich płac nauczycielskich, których *powaga stanu nauczycielskiego nie pozwala rozwałkowywać na zjazdach,*“ a gdy się to zupełnie nie powiodło, zalecały skuteczne lekarstwo streszczające się w słowach: „Takie sprawy (odnoszące się do utrzymania nauczycieli) należy tylko w zarządach *poufnie* omawiać!“ Głośne zaś i otwarte podnoszenie niesprawiedliwości i wyzysku sił nauczycielskich przez władze szkolne „społeczeństwo do stanu nauczycielskiego źle usposobią!..“

Ostatni punkt programu stanowiła wycieczka do Nowego Wiśnicza. Pod murami starego grodu Kmitów rozhasała się gromadka pedagogów, jakby sobie chciała wynagrodzić odciski urzędowych powijaków, którymi ją skrępowano na XXIV walnym zjeździe pedagogów.

Pozostaje nam jeszcze zapoznać czytelników z obradami zjazdu, czyli „ankiety teatralnej.“ Od czasu śmierci Dobrzańskiego, położenie teatru lwowskiego jest niepewne. Żyje on z dnia na dzień — bez jutra.

Scena lwowska, jedyna w stolicy kraju, liczącej sto kilkanaście tysięcy mieszkańców, rozporządzająca gmachem prawie bezpłatnym, zapomocą trzydziestu tysięcy złr. rocznie i funduszem emerytalnym, dosięgającym dziś dwustu tysięcy złr. — jest tylko etapem przejściowym dla artystów. Zachodzi pytanie, dlaczego oni zwracają swe oczy jak do Meki — do Warszawy, gdzie płaca, zwłaszcza z początkiem, jest o wiele mniejszą, aniżeli u nas, gdzie publiczność i prasa są tak zajęte artystami, że wymaga to wiele czasu i pracy, zanim przybysz, nawet bardzo utalentowany, wyrobić sobie zdoła stanowisko i zaskarbić względy. Mamy na to tylko jedną odpowiedź. We Lwowie teatr polski jest zawsze jeszcze przedsiębiorstwem prywatnem. Pomimo przeróżnych „ankiet“ i „komisyj“ władz nadzorczych, czyż była u nas kiedy jakamyśl wytyczna, jakiś program jednolity, jakaś trwałość i ciągłość idei przewodniej? Nigdy! Nadomiar klątwy, ciążącej na teatrach polskich we Lwowie, Krakowie i Poznaniu, powierzają ich „imprezę“ przeważnie redaktorom lub właścicielom gazet. Był nim we Lwowie Dobrzański, obecnie Schmidt, w Krakowie Koźmian, w Poznaniu Dobrowolski. Każdy z nich dla interesu własnego prowadzi w swem piśmie walkę *pro domo sua*. Redaktor i dyrektor teatru w jednej osobie, kruszą kopię w imię swego przedsiębiorstwa, odbywają się nawet formalne igrzyska, dyskredytujące instytucyę, która miałaby, u nas zwłaszcza, cele tak podniosłe... Miejsce sztuki zajęła spekulacya. A po tej śliskiej drodze doszliśmy do tego, że kilkutygodniowe niepowodzenie grozić może ruiną przedsiębiorcy, a tem samem przyspieszyć upadek sceny.

Zastanawiając się nad przyczyną tego opłakanego stanu, rzucił p. Z. Fryling, współpracownik *Kuryera lwowskiego* myśl *ukrajowienia* sceny lwowskiej, która — o dziwo! — znalazła przychylne przyjęcie nawet w sferach decydujących. Jeżeli teatr ma posiadać zabezpieczone warunki bytu, musi przejść pod zarząd kraju, jak w Budapeszcie, Pradze lub Zagrzebiu. Wydział krajowy zajął się zbadaniem całej sprawy i zwołał onegdaj ankietę, w której wziął udział między innymi Romanowicz, Koziebrodzki, Asnyk, Koźmian, Bałucki, Bliziński, Łoziński itd.

Pierwszym punktem obrad było pytanie: „Czy teatr ma pozostać, jak dotąd, przedsiębiorstwem prywatnem, przez kraj wspomaganem, czy też ma przejść zupełnie pod rząd krajowy.“ Teoretycznie zgodzono się na krajowy, ma on jednak pozostać w sferze ideałów... Uchwalono bowiem na teraz pozostawić obecny stan rzeczy, zalecając dążenie do urzeczywistnienia przemiany.

Twardszym orzechem było drugie pytanie: „Jak daleko ma sięgać i być wykonywane prawo dozoru teatru przez Wydział krajowy i komisyę artystyczną.“ Cały dzisiejszy wpływ Wydziału krajowego i komisyi artystycznej ogranicza się do słabych drobnostek — organy nadzorcze same się do tego stanowiska obniżyły. Dość przejrzeć sprawozdania komisyi artystycznej, aby przyjść do wniosku, jakiemi to sprawami ona się zajmuje: wymyciem podłogi na korytarzu teatralnym lub wytrze-

paniem obić w lożach — co przecież niema nic wspólnego z zadaniem komisyi *artystycznej*. Nie posiada też ona prawie żadnego znaczenia, jest tylko *lucus a non lucendo*, składa się bowiem z nieobecnych posłów do Rady państwa, albo z ludzi, niemających żadnego wpływu na repertuar i kierownictwo sceny. Dalsze obrady toczyły się około zapomogi, udzielanej przez kraj przedsiębiorcy teatralnemu, a zostającej w ścisłym związku z komisyą artystyczną. Jeżeli komisya ta nie ma być czczą komedyą, jeżeli z jej zdaniem liczyć się ma przedsiębiorca, to zasiłek powinien być wypłacany zawsze z dołu. Inaczej referaty komisyi artystycznej będą zawsze tylko musztardą po obiedzie.

Za przedstawienia, wpływające demoralizująco na publiczność, za sztuki wystawiane licho i bez przygotowania, zapomoga nie powinna być wypłacaną. Przeznaczoną ma ona być przedewszystkiem dla dramatu i komedyi polskiej, a dalej na znakomite sztuki z literatury obcej. Farsa francuska i operetka sprosna nie potrzebują zasiłku— publiczność uczęszcza na nie; zepsuto bowiem jej smak; kraj nie może zresztą popierać rzeczy demoralizujących. Pomoc jego ma cel przeciwny; umożliwienie wystawiania sztuk polskich, chociażby one już zgóry na materyalne powodzenie liczyć nie mogły. Za granicą grają prawie wszystko, cokolwiek na niwie dramatycznej się pojawi, a u nas co najwyżej utwory Zalewskiego, Abrahamowicza i Przybylskiego, które „kasę robią.“

Po długich obradach w tej sprawie uchwalono tylko ogólnikowo, że „komisya artystyczna ma mieć prawo *veta* przeciw wypłacie subwencyi w razie, gdyby kierownictwo teatru nie było odpowiedniem.“ Dyrekcya zaś przedstawiać będzie komisyi program repertuaru na miesiąc naprzód. Kwestya opery i złożenia jej wyłącznie z sił polskich dała znów powód do uchwały ujemnej: „Ankieta wyraża zdanie, iż na razie nie należy wypłaty subwencyi czynić zależną od złożenia opery wyłącznie z sił polskich; wypowiada tylko życzenie, aby dyrekcya starała się przedewszystkiem uwzględniać polskie siły artystyczne.“ Kraj daje na operę 10,000 złr. rocznie, a miasto drugie tyle; jest to kwota poważna, którejby użyć należało na polskie siły, a nie na wyśpiewanych lazaronów włoskich... Władze autonomiczne przyczyniają się uchwałą tą pośrednio do popierania obcych dławidudów ze szkodą artystów krajowych.

Na resztę pytań kwestyonaryusza, ułożonego z głęboką znajomością stosunków, odpowiedziała ankieta albo niewyraźnie, albo wprost nierozumnie, przez co cały wynik długich narad powag artystyczno-literackich wpłynie wogólności szkodliwie na dalszy rozwój sceny.

Beta.

LISTY PETERSBURSKIE.

27 lipca.

Łapówki prasowe. — P. Piltz jako Reineke-Fuchs. — Po imieniu. — Wyścigi. — Prof. Lebiedew o konwersyi. — Położenie arystokraty.

Od sześciu tygodni nie wstaję z łóżka, więc jeżeli list mój niezbyt wesoły — przebaczcie.

Odwiedził mię jeden z reporterów i wiele pięknych rzeczy naopowiadał. Pisałem niegdyś, ile to latem na krańcach stolicy zjawia się ogródków i teatrzyków. Wiedziałem też, że przedsiębiorcy są dla reporterów bardzo uprzejmi, ci zaś wzajemnie płacą pięknem za nadobne, unoszą się nad wszelkiemi łamanemi sztukami i zachęcają publiczność do zwiedzania owych zakątków. I cóż? Okazuje się, że i Jan i Piotr i Kuźma, którzy tak się zachwycali podrygami i chrapliwym głosem jakiejś Anette, otrzymywali za to od przedsiębiorcy gotowe grosze. *Nowoje Wremia* i *Grażdanin*, a za niemi i inne gazety jęły najpoważniej roztrząsać kwestyę: sąd, policya czy prasa powiny karcić ową przedajność? Nikomu do głowy nie przychodzi, że tu występku niema. Któż nie wie, że wszelkie ogłoszenia, a tem bardziej reklamy, powinny być opłacane? Brzydko jest reklamować owe café-chantant'y, czyli po prostu *szyneczki*, brzydko codziennie pisać o tem, grzebać się z zamiłowaniem w owem moralnem błocie i nazywać małpie susy sztuką: lecz ile się za to płaci — rzecz mniejszej wagi. W każdym razie jest to śmieszne — nic więcej!

Dobrzy ludzie, odwiedzając mię, częstują i lepszemi nowinami. Tak np. przyniesiono mi parę numerów *Kraju*. W jednym z nich przeczytałem odezwę p. Piltza do p. Świętochowskiego i przetarłem oczy — nie, to chyba halucynacya! A może podczas mej choroby nową etykę wynaleziono?.. I żal mi się zrobiło starodawnej etyki. Człek wiedział przynajmniej, czego się trzymać, co nazywać czarnem, co białem. Aż tu raptem wszystkie przekonania w łeb biorą. O, wielki reformatorze poglądów ludzkich, Erazmie — nie Rotterdamski — po co te rewolucye? te nowe prawa?

A oto nr. 25 *Kraju* przeczytałem i wykrzyknąłem: Genialny Goethe! — tyś przewidział *Sprawę osobistą*; wszak to kopia z oracyi twego Reineke! Jaka piękna, jaka długa! Jakie naigrawanie się nad logiką i prawdą... Zresztą p. Piltz dowiódł, że jest niepośledním humorystą, że kłamali źli ludzie, twierdząc, jakoby był żadnym pisarzem.

W przyszłym roku w Warszawie doczekacie 50-letniego jubileuszu wyścigów konnych. Na cześć tak wielkiego święta wyznaczono nagrodę za trzywiorstowy bieg — pierwszemu koniowi około 8 tysięcy, drugiemu 1,000 rs. i trzeciemu 500 rs. Zapisywać się na owe wyścigi wolno wszystkim do końca kwietnia roku przyszłego. Jużci kto będzie miał najbardziej zwyrodniałego konia, tj. takiego, co ani do pracy, ani do konnej podróży niezdatny, jeno do chwilowego nerwowego wysiłku, ten się nazwie głównym hodowcą rasowych rumaków. Nieszczęście z ową szlachetną rasą, z ową arystokracyą końską! A możeby lepiej było, owe tysiące rozdzielić na setki i urządzić wyścigi bronowłoków, zaś zegar złoty, obiecany dżokejowi, wręczyć parobczakowi, który największą wiązkę siana dźwignie. Zresztą, przepraszam, u chorego człowieka i myśli chore.

Profesor Lebediew w gazecie *Nowoje Wremia* z 16 lipca dowodzi nader dobitnie, że konwersya państwowych papierów z 5% na 4% przyniosła stratę i skarbowi i obywatelom, bankierzy zaś zarobili na tem około 20 milionów w złocie. I tylko zyskało się moralnie... znaczniejsza bowiem część papierów bankowych z berlińskiej przeniesiono na paryską giełdę — a to zysk niemały!

Wszedł doktór i wyrwał mi pióro z ręki — nie wolno!.. Czytać nie wolno, pisać nie wolno, myśleć nie wolno, pracować nie wolno. Ha, stałem się nareszcie istotnym arystokratą. Okazuje się, że obowiązek to niezbyt wesoły — nie zazdrośćmy.

N. B.

BADANIA NAUKOWE.

PSYCHOGENEZA.

II.

Przestrzeń i czas są również pojęciami oderwanemi. Oznaczają one pewne stosunki konkretne, pewne strony rzeczywistości, które wprawdzie są pojmowane oddzielnie ale bynajmniej nie wykluczają się wzajem, owszem, jaknajściślej łączą się z sobą i zachodzą na siebie. Przyznawać przestrzeni i czasowi samoistne istnienie, uznawać je za oddzielne warunki, właściwe z osobna jednej tylko grupie zjawisk i w ten sposób między temi zjawiskami wytwarzać przepaść niezgłębioną i niedającą się przekroczyć, jest to zabawiać się w formalistyczne schematyzowanie, które jest wręcz przeciwne metodzie badań naukowych. Wszystko, co się dzieje w przyrodzie, dzieje się zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Zjawiska — i materyalne i duchowe — zachodzą nietylko w przestrzeni, ale i w czasie. Jeżeli bowiem zjawisko fizyczne musimy pojmować jako przemieszczenie cząstek materyalnych w czasie, to z drugiej strony i duchowe przedstawi się nam jako następstwo stanów wewnętrznych w danym organizmie, a więc—przed wszystkiem w czasie. Kto uważa ducha za coś nierozciągłego i przeciwstawia go materyi rozciągłej, ten dobrowolnie naraża się na sprzeczności i zmuszony jest logicznie przyjąć najniedorzeczniejsze konsekwencye, jakie z takiego pojmowania wypływają. Jeżeli bowiem duch jest nierozciągły, nie podlega on warunkom przestrzennym i nie może zajmować żadnego ściśle oznaczonego miejsca, chociażby niem był punkt matematyczny — gdyż ten jest już pewnem oznaczeniem przestrzeni; słowem, musi on być wszędzie i nigdzie; twierdzić zatem, że dusza znajduje się w danym organizmie, znaczy samemu sobie przeczyć.

Przyjąwszy w założeniu Kartezyuszowskie określenie materyi i ducha, chociażby na sposób Spinozowski pojętych, za pewnik, nie trudno dowieść, za pomocą rozumowania oderwanego, że między ciałem a duszą niema żadnego związku przyczynowego, ani bezpośredniego. Potrzeba tylko zamknąć oczy na fakty codziennego doświadczenia i powiedzieć sobie, że wobec przyjętej z góry zasady nie mają one najmniejszego znaczenia.

Nie ulega wątpliwości, że prawo zachowania energii, będące najwyższem uogólnieniem prawa przyczynowości, w obecnym stanie nauki nie daje się wykazać w zakresie zjawisk duchowych; że o wyznaczeniu dla nich równoważnika mechanicznego — mowy nawet dzisiaj być nie może. Ale czy można stąd wnosić, że czynności duchowe temu prawu nie podlegają; że sprawy fizyczne nie są dla nich koniecznym warunkiem. Fizyka o wiele wyżej wzniosła się w swym rozwoju od psychologii, a mimo to zdołano w niej z całą dokładnością wyznaczyć tylko równoważnik mechaniczny dla ciepła; co się tyczy światła, elektryczności i magnetyzmu, to pod tym względem pozostaje jeszcze bardzo wiele do zrobienia. Zjawiska życiowe, do których należą czynności ducha, są bardziej złożone od fizycznych i przedstawiają się w takiem powikłaniu, że nie zawsze można wykazać składowe ich czynniki i udział każdego z nich ściśle oznaczyć. Badając związek przyczynowy między czuciem, jako faktem duchowym, a wrażeniem zmysłowem, jako faktem mechanicznym, napotykamy cały szereg spraw, których natura jest nam zupełnie nieznaną. Pamiętajmy nareszcie, że w organizmie żyjącym nie zachodzi prosta przemiana jednego ruchu na drugi, ale wyzwalanie się nagromadzonej w nim energii, zawsze czynnej pod wpływem bodźców, o których nie mamy do dziś dnia jasnego pojęcia. Z tem wszystkiem pewna ilościowa nawet odpowiedność między zjawiskami fizycznemi i duchowemi występuje jaknajwyraźniej i świadczy dowodnie, że między niemi panuje ścisła współzależność. Czy dlatego, że tej współzależności nie umiemy dokładnie oznaczyć, mamy się uciekać do Leibnicowskiej hipotezy, do „harmonii przedustawnej“?

Powiada p. Dawid, że ruch mechaniczny nie może zamieniać się na świadomość, ani

też z niej powstawać, gdyż znaczyłoby to, że pewien zasób energii może ginąć i wytwarzać się z niczego. Naturalnie, jeżeli świadomość, jak utrzymuje autor, nie jest pewnym objawem życia, zostającym w przyczynowym związku z jego sprawami, stanem organizmu, będącym wypadkową tych spraw i zogniskowującym w sobie wyzwoloną przez nie energię, ale czemś, co z temi sprawami niema nic wspólnego i nie wchodzi w zakres dokonywających się w organizmie przeobrażeń powszechnej energii — w takim razie nie jest ona niczem więcej, jak uprzedmiotowaną abstrakcyą, fikcyą wyobraźni, nadającej byt samoistny temu, co uważamy za prosty fakt logicznej analizy — wyrazem, któremu w rzeczywistości nic nie odpowiada. Jak niema zieloności i twardości w oderwaniu od przedmiotów, których są własnościami, mającemi swą przyczynę w ich cząsteczkowej budowie, tak również niema świadomości w oderwaniu od stanów organizmów takich, jak czucie, wyobrażenie, wzruszenie, pragnienie, które, będąc objawem życia, powstają kosztem rozporządzalnej jego energii. Koniecznym warunkiem świadomości jest zużycie pewnego zasobu energii. Czynności dowolne, wymagające z naszej strony pewnego wysiłku, koniecznego do pokonania trudności, są zawsze świadomemi; w miarę zaś, jak te tamy ustępują, stają się one mniej świadomemi i zamieniają na czynności automatyczne. To stopniowe wycofywanie się świadomości ze sfer życia, które, dzięki dokładniejszemu przystosowaniu się do warunków otoczenia, mniej spotrzebowują energii życiowej — jest najlepszym dowodem, że między tą energią a świadomością zachodzi jaknajściślejszy związek. Że dziś jeszcze nie umiemy wyznaczyć równoważnika mechanicznego dla świadomości, pochodzi to głównie stąd, że w szeregu przeobrażeń energii, dokonywających się w organizmie, znamy tylko ich początek i koniec, o pośrednich zaś fazach nie mamy żadnego wyobrażenia. Zanim będziemy mogli wyjaśnić, w jaki sposób wrażenie zewnętrzne, będące ruchem mechanicznym, wywołuje w nas czucie, które jest faktem świadomym, musimy wprzód poznać, jakiej są natury zmiany, zachodzące przytem w nerwach i w mózgu. Wtedy dopiero będziemy mogli rozstrzygnąć pytanie, czy świadomość jest objawem tej samej energii, która się uwidocznia we wszystkich sprawach organicznych i daje się ostatecznie sprowadzić do ruchu cząsteczkowego, czy też jest od niej czemś zupełnie różnem. Stąd, że świadomość wydaje się nam czemś rodzajowo różnem od ruchu mechanicznego, nie możemy jeszcze wnosić, że nie mają one z sobą nic wspólnego i że ich żaden zgoła związek przyczynowy nie łączy. Pod tym względem dostarcza nam pewnej analogii synteza chemiczna. Własności ciał, tą drogą powstających, tak są różne od własności ich pierwiastków składowych, że poprzestając na samem ich porównywaniu ze sobą, moglibyśmy z pewną słusznością utrzymywać, że między niemi niema nic wspólnego. Co więcej, trzymając się metody autora i rozważając własności w oderwaniu od ciał, niby jakieś byty samoistne, moglibyśmy twierdzić, że chociaż takie np. ciało, jak woda, powstaje rzeczywiście z tlenu i wodoru i jest im równe co do wagi, własności jednakże wody są pewną resztką, która wychodzi po za obręb przeobrażeń tlenu i wodoru i niema dla siebie odpowiedniego równoważnika.

P. Dawid, dowiódłszy w powyższy sposób swej tezy, przystępuje w końcu do scharakteryzowania monistycznego na świat poglądu, zgodnego z jego założeniem. Przyjmuje on naturalnie w zasadzie zamiast atomu fizycznego — metafizyczny, czyli tak zwaną monadę, która jednakże niema nic wspólnego z Leibnicowską, a różni się także i od monady Haekla i Noirégo, dwu głównych przedstawicieli monizmu niemieckiego—jeżeli nie co do swej istoty, to przynajmniej formalnie. Rozważając ją wyłącznie pod względem przestrzennym, każe jej składać się z dwu pierwiastków — rozciągłego i nierozciągłego. Takie określenie monady przenosi on nad przyjęte powszechnie, w tem przekonaniu, że zabezpiecza ono od wywodów fantastycznych, które, będąc oparte na analogii, w gruncie rzeczy nie są niczem innem, jak najzwyklejszym antropomorfizmem. Pociąga to już za sobą ważną różnicę w zapatrywaniu na świat; różnica ta wszakże nie jest jeszcze tak wielką, ażeby nie pozwalała autorowi uważać się za prawdziwego monistę. Za daleko ważniejszą uważamy tę, która jest bezpośrednim następstwem zasadniczego założenia. Punktem wyjścia dla monizmu współczesnego jest Kantowski pogląd na stosunek duszy i ciała, gdy tymczasem autor pojmuje ten stosunek na sposób Spinozowski. Dlatego też, kiedy moniści przyjmują monadę, w której, obok pierwiastku materyalnego, występuje także i duchowy, w tej nadziei, że za jej pomocą zdołają wyjaśnić takie zagadnienia, jak: początek życia, powszechne ciążenie, powinowactwo chemiczne, stanowiące dotąd sfinksowe zagadki dla naszej wiedzy; to autor obdarza swą monadę nierozciągłością — nie dlatego, żeby od niej wymagał za to jakiej przysługi, ale po prostu... dla parady. Przestrzega on nawet, ażeby w zagadnieniach, odnoszących się do świata nieorganicznego, pomijano całkiem pierwiastek nierozciągły i nie brano go w rachubę, gdyż w tym zakresie zjawisk daje się wszystko wytłomaczyć na podstawie praw mechanicznych. Powiada on wyraźnie: „Logiczna konieczność doprowadza nas do przyjęcia duchowego pierwiastku, jako pierwotnej cechy materyi. Rzecz widoczna, iż na przyznaniu tem wiedza nasza we właściwem znaczeniu nic nie zyskuje, lecz osiągamy stąd tę korzyść, iż pogląd nasz na świat staje się konsekwentnym i jednolitym."

Czytając powyższy ustęp, doznajemy szczególnego wrażenia; zdaje się nam, że słyszymy przemawiających z za grobu Heglów i Fichtów, którzy, gwoli jednolitości poglądu na świat i logicznej konsekwencyi, tworzyli systemy filozoficzne *a priori* z pierwiastków, jakich im dostarczała sama fantazya, żadnymi na fakty rzeczywiste nie skrępowana względami. Tak nie przemawia zwolennik Kanta, który doświadczenie uznaje za jedyne źródło poznania, w formach zaś czystego myślenia widzi tylko konieczne jego warunki.

Władysław Kozłowski.

SOCYOLOGIA PSYCHOLOGICZNA.

II.

Każdorazowe społeczeństwo posiada właściwy sobie charakter, zdobyty zwolna drogą ewolucyi naśladowniczej; pewna ilość pożądań i potrzeb, wywołanych przez wiekowe odkrycia i wzajemnie powiązanych, następnie pewna suma idej, pogodzonych i spojonych, stanowią o duchu społecznym i odpowiadają współrzędnemu przystosowaniu do siebie organów w organizmie. Lecz typ ten jest niezależny od niższości lub wyższości społeczeństw, które mierzą się według tego, z jakim oporem wśród nich odbywa się naśladownictwo. W tej mierze idealnem społeczeństwem byłoby takie, gdzie jakaś idea i wogóle odkrycie, zjawiwszy się w jednym mózgu, stałoby się zaraz dobytkiem wszystkich innych. Właśnie rozwój społeczny podąża ku temu stanowi i wszelkie zawikłania społeczne wypływają z przeszkód, które fala naśladownicza spotyka na swej drodze. I dzisiejsza kwestya społeczna jest owocem podobnego splotu stosunków, ludzie bowiem chcą upodobnić się w swych wierzeniach i pożądaniach, a tymczasem warunki na to nie pozwalają. Zresztą samo naśladownictwo jest jedynie pewnego rodzaju hypnotyzowaniem, tak, iż społeczeństwo można określić jako wzajemną hypnozę. Lecz to hypnotyzowanie bywa różne i odpowiednio samo społeczeństwo przedstawia rozmaitą postać. W pierwocinach społecznych bywa ono jednostronne; ktoś wyższy umysłem, energiczniejszy w czynie, hypnotyzuje rzesze, a zalęknienie, ów stan psychiczny, właściwy Babylonii, Egiptowi wobec swych „boskich" dynastyj, jest właśnie najlepszem znamieniem tego oddziaływania. W miarę postępu hypnotyzowanie staje się zobopólne i „wielcy ludzie," chociaż narzucają swoje odkrycia i naśladownictwa innym, sami są jednak tylko jakby ogniskiem i echem tysiącznych i milionowych dłosów. Jednakże naśladowanie samo wzmaga się i wzrasta w potęgę, lubo pozornie słabnie. Malec, ukończywszy szkoły, wyrywa się z pod powagi rodzicielskiej; sądzi on, że stał się „samodzielnym," a tymczasem w istocie rzeczy zmienił jedynie wzory, które naśladował dotychczas. Podobnie w postępującem społeczeństwie wzrasta liczba czynów i idej do naśladowania. Członek dzikiej hordy posiadał przed sobą niewiele pobudek do naśladowania, postępki jego były ściśle określone przez prawo zwyczajowe, surowo potępiające każdego, ktokolwiek wyrywał się z pod więzów tradycyi; człowiek niewolniczo ulegał przeszłości i drobiazgowo kopiował swoich przodków, niewiele dorzucając nowego i mało zapożyczając u plemion ościennych. Tymczasem obecnie, wskutek nawału najrozmaitszych wzorów i osłabionego z tej przyczyny wpływu przeszłości na teraźniejszość, posiada on możność dowolnego wyboru. Zdaje mu się przeto, że jest wolny, samoistny, lecz w gruncie rzeczy jedynie ma swobodę rozumowanego naśladowania. Z ogólnie obowiązującego i tradycyjnego staje się ono osobistem i dowolnem, zamiast tradycyi występuje moda, zamiast rodzimej przeszłości ciąży obcokrajowa teraźniejszość. Łatwo pojąć, czem w oczach Tarde'a jest historya. Zawartość ludzkich dziejów — to gromadzenie jednych odkryć po drugich, to doskonalenie się ich dzięki temu wzrastaniu lub znoszenie, to wreszcie fale naśladownicze, wybiegające od każdego z nich i nawzajem krzyżujące się i plączące. Historya winna być zatem zobrazowaniem tego przebiegu, lecz widoczna, że nie może zawrzeć ona w sobie ogromu odkryć i wszelkich procesów naśladowniczych. Dla dotychczasowych dziejopisarzów była ona opowiadaniem o najwybitniejszych osobistościach, dla naszego socyologa winna być przedstawieniem najbardziej udatnych odkryć, tj. takich, które były najbardziej naśladowane. Historya, w jego rozumieniu, zbliżałaby się zatem raczej do tego, co dzisiaj nazywają dziejami kultury. Z tem wiąże się jego przeświadczenie, że jedynie w archeologii można poszukiwać materyału do istotnego dziejopisarstwa, oraz jego mniemanie o znaczeniu statystyki, jako narzędzia do badań historycznych. Statystyka bowiem poszukuje, chociaż nie zdając sobie z tego sprawy, praw, które rządzą poszczególnym procesem naśladowniczym; krzywa, którą otrzymujemy np. dla wzrostu linii kolejowych, telegraficznych, wywozu jakiegoś towaru, jest wprost graficznem uzmysłowieniem pojedynczej fali naśladowniczej.

Naszkicowawszy w ogólnym zarysie swoje zapatrywania, Tarde zwraca się ku wyszukaniu praw rządzących naśladownictwem. Trudno zapuszczać się wraz z nim w drobiazgowe przedstawianie sprawy i z tego powodu poprzestaniemy jedynie na ogólnem zaznaczeniu jego wywodów. Przedewszystkiem stawia on jedno zasadnicze pytanie, dlaczego przypuśćmy ze 100 wierzeń 10 rozszerza się i rodzi potężne fale naśladowniczce, 90 zaś zanika bez żadnego rezul-

tatu. Wyróżniwszy wśród przyczyn tego fizyczne i społeczne, usuwa pierwsze zupełnie z pod rozpatrzenia—, np. dlaczego w krajach południowych jedne, w północnych inne panują dźwięki, lub czemu jedna rasa ku takim, inna ku innym czuje szczególniejszą skłonność. Natomiast bliżej zajmuje się przyczynami społecznemi, wśród których znowu wyodrębnił „logiczne" od „extra-logicznych". W pierwszym wypadku człowiek występuje jako istota rozumna, która ocenia, o ile dany fakt do naśladowania idzie w kierunku jego potrzeb. Użyteczność jest tutaj probierzem wartości i pobudką naśladowania, przyczem zupełnie nie zwraca się uwagi, od kogo dana rzecz pochodzi, jak dawną posiada przeszłość za sobą. Nie będziemy rozbierali „pojedynków" ani „sojuszów logicznych", mianowicie starć lub przymierzy pomiędzy dwoma wierzeniami lub dwoma pożądaniami; ani tego, jak w miarę rozwoju „pojedynki" i „sojusze" z osobistych stają się zbiorowymi; ani wreszcie, „słownika" i „gramatyki", tj. gromadzenia odkryć i ich wzajemnego wiązania się w zawartą zależność, wspomniemy tylko, że rozwój społeczny idzie niby od „słownika" ku „gramatyce". Tymczasem „extra-logiczne" naśladowanie polega na tem, że pierwiastek rozumowy (lecz nie świadomy!) przestaje tutaj działać. W ogólnych zarysach podąża ono zawsze z wewnątrz na zewnątrz, tj. zanim człowiek w swojem postępowaniu zacznie kogoś naśladować, uprzednio w duszy jego musi zrodzić się odpowiednie uczucie; oraz od wyższego szczebla społecznego ku niższemu, tak, iż niższe warstwy zawsze naśladują kogoś, tymczasem same są bardzo mało lub zupełnie nie naśladowane. Zresztą naśladuje się nie wszelką wyższość społeczną, lecz tylko bezpośrednio wyżej stojącą, a nadto różną— stosownie do epoki: w pierwocinach społecznych będzie to arystokracya, w obecnej Francyi—paryżanie. Wśród tych naśladownictw "extra-logicznych" Tarde wyróżnia zwyczajowe, w imię poszanowania ku przeszłości, i modę—ku obczyznie teraźniejszej. Pierwsze przeważało niegdyś, drugie dzisiaj, lecz autor wypowiada zdanie, że w przyszłości z tegoczesnego rozwoju wyłoni się jakiś stateczniejszy układ społeczny, oparty znowu na tradycyi; rozbiera on prawdopodobieństwo tego, jako też wzajemny stosunek zwyczaju i mody w dotychczasowym rozwoju języka, religii, rządu, prawodawstwa, potrzeb, moralności i sztuki. W końcu usiłuje dowieść, że rozwój ludzkości polega na przejściu od jednostronnego naśladownictwa ku powszechnemu oraz że przebieg ten nie jest odwracalny, a to z powodu wzajemnego powiększenia odkryć.

W ten sposób przedstawia się pierwszy a wykończony całokształt socyologii psychologicznej. W naszym szkicu ominęliśmy punkty niekiedy bardzo ważne, lecz będące jedynie subjektywnym wkładem autora, natomiast zaś usiłowaliśmy, chociażby w postaci gołej wzmianki, zaznaczyć istotne rysy samego kierunku. Jeżeli sądzić o wartości tego wysiłku z rezultatów praktycznych, mianowicie o ile pozwolił czytelnikowi wniknąć w istotę społeczną, odsłonił mu tajemnice rozwojowe i dał klucz do zrozumienia procesów dziejowych, należy powiedzieć, że byłaby w takim razie nieznaczna. Wezmiemy pewien obraz dla uzmysłowienia naszej myśli. Wisła, wytryskując z swoich źródeł, rozlewa się korytem i płynie w pewnym kierunku. Ktoś przychodzi i bada, jak w każdem miejscu jedna cząsteczka wody wywiera wpływ na inną oraz z jaką prędkością opada (tj. płynie), ale jednocześnie odsuwa na bok wszystkie „odkrycia", tj. powody zwrotu. Czy z takiej próby wyniesiemy jakiekolwiek pojęcie o Wiśle tj. chociażby jej figurze topograficznej? Chyba żadnego! W takiem właśnie położeniu stawia nas socyologia psychologiczna w obec społeczeństwa. Wszystkie wywody Tarde'a, jego zestawienia, „pojedynki logiczne„ „gramatyki" i „słowniki społeczne", mogą być zręcznie usnute, niekiedy nader trafnie, lecz dla człowieka, który zechciałby w socyologii znaleść zrozumienie przeszłości i teraźniajszości społecznej, wyszukać drogowskazy praktycznej a owocnej działalności, to zaciekania naszego socyologa wydadzą się niezwykle jałowemi i bez pierwiastków ożywczych. Wprawdzie psychologia społeczna, np. proces naśladowniczy, poruszenia masowe, posiadają niezwykłe znaczenia, lecz musimy się z poszukiwaniem tego zwrócić gdzieindziej. Tarde swojej względnej jałowości nie wykupuje nawet paradoksalnością i oryginalnością, które tak przyjemnie oddziałują w pracach Guyau'a. Być może obiecana praca jego nad prawami odkryć przyniesie coś pożywniejszego, jako też inna, zapowiedziana już w handlu księgarskim, a poświęcona filozofii karnej, oświetlenia bowiem zbrodni jako zarazy umysłowej i wyszukanie odpowiednich środków, jest bezwarunkowo nader obiecujące.

Lud. Krz.

LITERATURA I SZTUKA.

ALEKSANDER GŁOWACKI

(Bolesław Prus).

I.

W tylowiekowem a daremnem usiłowaniu określenia prawideł dla twórczości artystycznej krytyka powinnaby już znaleść dla siebie przestrogę, że jeżeli nie chce być jedną z Danaid, napełniających bezdenne beczki wodą, z poważnym celem i skutkiem może tylko badać i szacować zjawiska w ten sposób, w jaki to czynią nauki przyrodnicze. Zoologia również wyróżnia pewne zwierzęta, botanika — rośliny, którym przyznaje wyższą organizacyę, większą wartość użytkową i estetyczną, w pewnej nawet mierze każda z nich zapomocą krzyżowań zmienia i urozmaica rozwój naturalny, wywołując postacie i odmiany nowe, świadomie pożądane; ale zawsze jest to tylko co najwyżej nadanie innych warunków działaniu praw natury. Pomimo wszelkich trzeźwień, nawoływań i rozumowań, zwłaszcza H. Taine'a, zwracających krytykę artystyczną w kierunku zasad prawdziwie naukowych, pozostaje ona ciągle systemem wyłącznej hodowli, a nie przedmiotowego badania. Ogrodnik, wytwarzający pewne gatunki róż, lub gospodarz — pewne gatunki kur, nie odmawiają innym racyi bytu; tymczasem krytyk, wybrawszy sobie jakiś rodzaj umysłów i ich dzieł, po za nim wszystkie inne lekceważy i praw do istnienia pozbawia. Nie widziano zoologa, któryby np. uznawał tylko zwierzęta przeżuwające, a potępiał drapieżne, ani takiego mineraloga, któryby chwalił opale, a ganił rubiny; ale co krok spotkać można krytyka, który wykreśliłby z literatury utwory idealne lub realne. To już nie badacz, ale stróż kodeksu, szermierz chorągwi, przedstawiciel i obrońca szczególnych upodobań, sędzia i hodowca, który nie godzi się na to, co przez talenty i geniusze rodzi natura, ale wymaga przestrzegania pewnych przepisów i powstawania pewnych postaci. Gdyby był ogrodnikiem, nakazałby wszystkim krzewom, ażeby wydawały róże oznaczonej barwy. Nieszczęściem dla niego sztuka jest także naturą, a nie apteką, w której przyrządają się lekarstwa według recept.

Po przez całe dzieje umysłowości ciągną się namiętne spory przedstawicieli odmiennych sposobów tworzenia artystycznego, które mają zawsze dwojaki a niezmiernie pouczający wynik: strona zwycięzka nie zapewnia sobie nigdy panowania wiecznego i po pewnym czasie ustępuje pola innym przeciwnikom, zwyciężona zaś nie traci swojego stanowiska i znaczenia w historyi. Zwróćmy się np. pamięcią do walki naszych klasyków z romantykami: ostatni wyszli z niej jako tryumfatorowie, ale nie zdołali ani utrzymać swego sztandaru w okresie późniejszym, ani wyprzeć pierwszych z literatury; jeżeli zaś dotąd Mickiewicz jest królem naszej poezyi, a Słowacki i Krasiński jej książętami, jeżeli romantyków bardziej cenimy i uwielbiamy, niż ich następców lub poprzedników, to przyczyna takiej szczególnej dla nich czci spoczywa nie w ich romantyzmie, ale genialności. Twórca *Sonetów krymskich* nawet w obozie Dmochowskiego byłby hetmanem, podczas gdy Dmochowski w obozie Mickiewicza nosiłby zaledwie szlify podoficerskie. O ich randze poetycznej rozstrzygnął nie sztandar, ale uzdolnienia.

Każdy z nas, obejrzawszy kościół św. Magdaleny w Paryżu i katedrę medyolańską, wybierze dla swego gustu pierwszy lub drugą; każdy znajduje większą przyjemność w słuchaniu muzyki Mozarta lub Schumanna; ale nikt, wykształcony estetycznie, nie powie, że któryś z tych kościołów lub któraś z tych muzyk jest robotą nieudolną lub niedorzeczną. Tymczasem ustawicznie wydajemy takie wyroki o równoważnych artystycznie utworach literackich. Kto podziwia *Irydiona*, lekceważy *Germinala*, lub naodwrót. W tej dziedzinie sądy zabarwiają się wyraźnie gustami osobistymi, upodobania indywidualne dają sankcyę obowiązującym wszystkich regułom, cała natura ludzka wraz ze swoją nieskończoną rozmaitością zostaje wtłoczona w naturę jednostki lub pokrewnego z tą jednostką stronnictwa i o tyle uprawniona do bytu, o ile w niej się mieści. Stąd też w historyi ciągle powtarza się to dziwne i dla rozumu człowieczego niezaszczytne zjawisko, że najgenialniejsze utwory literackie nie znajdują odrazu należytego dla siebie uznania, a nawet bardzo długo są przedmiotem pośmiechów, zanim odległa potomność otoczy je promieniami zasłużonej chwały. I rzecz szczególna: znakomite odkrycia i wynalazki, dzieła pędzla lub dłuta zyskują natychmiastową sławę, podczas gdy napozór (tylko napozór!) dostępniejsze umysłowi ludzkiemu poematy lub przekonywające teorye naukowe potrzebują nieraz dziesiątków lub setek lat dla osiągnięcia rozgłosu. Rafael i Tycyan byli tak czczeni przez współczesnych, jak Matejko i Meissonier; nigdy w dziejach nie narodził się poemat, któryby tak szybko zjednał sobie podziw, jak telefon lub wieża Eiffla. Różnica ta płynie z dwu źródeł: naprzód ogół najłatwiej pojmuje i ocenia to, co widzi oczami, powtóre producenci opinii publicznej są zawsze, mniej lub więcej, w czynach lub zamiarach, przedstawicielami i wyznawcami jakiegoś kierunku twórczości literackiej. Jeden napisał powieść lub dramat, drugi pisze, a trzeci chciałby napisać i naturalnie ten rodzaj uważa za najdoskonalszy, w którym sił swoich spróbował lub je tylko uczuwa.

Dlatego to tak rzadko zdarzają się krytycy, którzyby rozpoznali nowy, odmienny talent przy pierwszym jego wystąpieniu i ocenili nowonarodzone wielkie dzieło literatury. Zwykle bowiem zasiadają oni na sądy ze starym, dawno zatwierdzonym kodeksem i gotowemi upodobaniami, podczas gdy on im przynosi inny kodeks i inne upodobania. Potrzeba na to bardzo bystrego i rozległego umysłu, ażeby zrozumiał nawet wielkość, jeśli ona od poprzednich wielkości jest różną. Gdybyśmy mineralogowi okazali kryształ, któryby posiadał czucie i ruchy, niewątpliwie badacz zdumiałby się, ale zachowałby go i starałby się przeniknąć tajemnicę jego życia; przeciwnie estetyk, spotkawszy podobne dziwo, odtrąca je i wyłącza ze sztuki. Jest on bowiem (z bardzo nielicznymi wyjątkami) najzatwardzial-

szym konserwatystą, który opiera się na przeszłości i wymaga prawowitych rodowodów. Kto nie może wyprowadzić swego pochodzenia od Shakespeare'a, Balzaca, Mickiewicza i innych słynnych antenatów, ten jest podrzutkiem w literaturze. Żaden inny myśliciel nie ulega w tym stopniu, co krytyk artystyczny, naiwnemu złudzeniu, że natura, objawiająca się również — jak rzekliśmy — w sztuce, wyczerpała już swoje pomysły i że pozostaje nam tylko badać, porządkować i formułami związać postacie jej dotychczasowe. Na tem stanowisku popełnić można największe niesprawiedliwości i największe głupstwa. Jakkolwiek bowiem od tysiąców lat pracujący duch człowieczy wyczerpał ze swej głębi wiele, wydobywa nowe nieustannie, a ile jeszcze z niej wydobędzie, nawet przybliżenie wyobrazić sobie nie możemy. Jest to bezdeń, objęta bezmiarem przyszłego rozwoju. Najpewniej przeto ustrzegą się omyłek ci, co nie zamkną odmian i granic obszaru twórczości ludzkiej w widnokręgu swej wiedzy i upodobań, a ustawicznie pamiętać będą, że mają przed sobą nieskończoność, która ani swej drogi, ani zwrotów, ani kresu nie oznaczyła.

Jednakże i tu jakieś zasady sądzenia istnieć muszą. Niezawodnie. Jak w naturze rozproszone są, pod postacią większych lub mniejszych skupień, szlachetne kruszce, tak w literaturze — geniusz. Chociaż przyznajemy go tylko umysłom najwyższej miary, znajduje się on prawie we wszystkich, a przynajmniej we wszystkich, posiadających jakieś wyraźne uzdolnienia. Znamy złoto w bryłach, znamy w rudach bogatych i tak ubogich, że go z nich wydobywać nie warto. Podobnie rzecz się ma z geniuszem w świecie ducha ludzkiego, w pokładach literatury. Mylimy się, mniemając, że on tkwi w Dantem, Goethem i Mickiewiczu, a że go wcale niema u Kondratowicza, Asnyka lub Konopnickiej. Jest to taki sam błąd, jak gdyby ktoś twierdził, że złoto wcale nie istnieje w piasku Kalifornii, lub że dyament dwukaratowy nie jest dyamentem. Jest nim, pomimo że jego piękność i wartość są mniejsze; jest genialnym Asnyk lub Konopnicka, pomimo że blaskiem i ceną nie dorównywają twórcy *Pana Tadeusza*. Zasadę tę można rozciągnąć jeszcze dalej: bo czyż w najpospolitszych ludziach, a nawet waryatach, nie spotykamy często myśli, które są jak gdyby drobinami geniuszu?

Wobec tej zasady zadanie krytyki (a z nią estetyki) wykreśla się jasno: powinna ona każdorazowo oznaczyć, w jakim stosunku pozostaje utwór do najdoskonalszych wzorów w znanym rodzaju lub też — jeśli on wprowadza rodzaj własny — o ile wnosi nowe pierwiastki myśli i postacie, formy świeże a piękne. Czyli — mówiąc językiem powyższego porównania — ma ona ocenić: jak wielkim i o ile z innemi, pośledniemi materyami pomieszany jest przedstawiony jej dyament, lub też — jeżeli to klejnot nowy — z jakich on pierwiastków się składa i według jakich form je krystalizuje.

W każdym tedy wypadku, zarówno przy dziełach znanego, jak nieznanego rodzaju, jedynym kodeksem dla sprawiedliwego sądzenia ich jest geniusz, bądź świecący ideałem w przeszłości, bądź rozpalający swe światło na przyszłość. Wszelka teorya oderwana i udogmatyzowana jest systemem bredni, godnym tego, co ją zwykle spotyka, kiedy ją potężny umysł jak wicher tchnieniem swojem wywraca. Pamiętając o nieskończonej rozmaitości przejawów sił natury, powinniśmy raz na zawsze odmówić sobie prawa ograniczania ich do pewnych kombinacyi i postaci dla nas zrozumiałych i pożądanych. Prawodawcą estetycznym jest sam twórczy geniusz, a nietylko ten, który objawia się w najwyższej potędze i okazałości, ale także ten, który występuje pod skromniejszą formą t. z. talentu lub szczególnego uzdolnienia. Bo chociaż wtedy zdradza on swe pokrewieństwo z jakimś duchowym przodkiem, którego charakterystyczne rysy odziedziczył, dopełnia je często i zmienia tylu własnymi, że może rościć słuszną pretensyę do pewnej samodzielności i stanowienia dla siebie w jej zakresie swojego odrębnego kodeksu. Jeżeli zaś w życiu nie zmuszamy syna, ażeby wiernie naśladował ojca, to czyż możemy wymagać w sztuce, ażeby jakiś twórca był kopią swego pierwowzoru? Przeciwnie, najbardziej winniśmy cenić to, co jest w nim najlepszem — oryginalność.

Takim oryginalnym w dość znacznej mierze, a przeto dla literatury bardzo wartościowym umysłem, kryształem nie nadzwyczajnej wielkości, ale szczególnego i pięknego kształtu, jest Bolesław Prus.

(D. c. n.).

LITERATURA POLSKA.

Gamaston, *Fata morgana*, opowiadanie ze wspomnień szkolnych. Kraków, 1890.

Rzecz dzieje się w czasach Szkoły Głównej, a wątkiem powieści jest życie studenckie. Autor zdaje się być sam wychowańcem tej najwyższej niegdyś u nas instytucyi wykształcenia publicznego. Mało to jednak wpływa na charakter powieści: typy i sytuacye wprowadzone, bez szczególnej ujmy dla wierności dziejowej, znaleźć by się mogły w ramach obecnej chwili. Usunąwszy profesora Girsztofta, jak cień znikomy przesuwającego się po scenie, a raczej kilka lużnych wzmianek o nim, wykreśliwszy może parę dowcipów i anegdot, narodzonych i krążących w owych czasach, otrzymujemy kilka typów tegoczesnego studenta wraz z ich otoczeniem społecznem, prawdopodobnie w pewnych rysach różnem przed dwudziestu kilku laty od dzisiejszego w rzeczywistości, lecz nie w powieści p. Gamastona. Już na wstępie zapoznaje nas autor z gronem studentów, którzy od początku do końca opowiadania, złączeni przyjaźnią, nie rozstają się z sobą, wyjąwszy głównego bohatera, którego śmierć zabiera. Głównym tym bohaterem jest Grzegórz Bartnicki, student medycyny. Natura ręką autora wprawdzie go upośledziła, obdarzając garbem, lecz dla zrównoważenia zlała nań sporo przymiotów duchowych. Jest on ulubieńcem profesorów i kolegów, dla tych ostatnich nawet wyrocznią. Otrzymuje stypendya i wyraża za nie wdzięczność całowaniem w ramię rektora (Mianowskiego). Podobało się jednak autorowi zawiesić nad nim fatum miłości z przeszkodami przesądów klasowych, fatum, tak nielitościwie ścigające zwykle bohaterów Kraszewskiego. W czasie wakacyj spędzanych w majątku kolegi, hr. Wodzyńskiego, Bartnicki zakochał się w jego siostrze, Hali. Działo się to na Wołyniu, w Kraśnie, gdzie nawet dziś najwięcej lęgnie się podobnych pseudo-arystokratów. Hala Wodzyńska jest jednak hrabianką wyjątkową: nie zraża jej ułomność studenta, owszem jego wyższość umysłowa i moralna pociąga ją silniej. Bo też Bartniki miał szczególny dar olśniewania wyobraźni kobiecej bogactwem swej natury. Na dwóch stronicach powieści, w ciągu kilku pierwszych dni pobytu w domu kolegi, dokonywa całego szeregu niezwykłych czynów: przywracn słuch starcowi prawie stuletniemu, karci zwycięzko panka pysznego, a następnie wśród ogólnego popłochu ratuje od udławienia, a wszystko wobec hrabianki, u której tak szybko wzrasta na bohatera, że gdy nareszcie w czasie przejażdżki z nią i bratem rzucił się w płomienie płonącej chałupy na pomoc dziecku żydówki, panna zemdlała, a potem, ocucona, gdy ujrzuła, że Bartnicki ocalał, znów zemdlała, ale z radości. Razi czytelnika ta przesada w łatwości improwizowania czynów niepowszednich, olśniewających, niemniej jednak po należytem ich rozmieszczeniu w czasie i przestrzeni, zbliżą się one do rzeczywistości. Owszem, autorowi udało się pochwycić rys znamienny, tak pod względem psychologicznym, jak i społecznym. Bartnickiego pcha do bohaterstwa nieświadoma chęć przypodobania się kobiecie, Halę zaś pociągają przykrojone do nowszych czasów turnieje mężczyzn — doktorów, inżenierów, tych zastępców dawnych rycerzy. Stare wino wlane w nowe naczynie. Bohater jednak umiera, nie połączywszy się dozgonnym węzłem z hrabianką, umiera w świadomości, że go od niej oddziela głęboka przestrzeń stanowisk społecznych. Autor jednak tyle miał jeszcze taktu, że skroiwszy Bartnickiego na przedpańszczyznianą modłę kochanków, dla uniknięcia rozdźwięku z dzisiejszym czasem, każe mu zejść ze świata śmiercią przypadkową: zabija go tyfus wynikły z zarażenia się.

Zatrzymaliśmy uwagę na Bartnickim nie dlatego, żeby on miał być stałą osią powieści p. Gamastona. Tą osią zrobił on go podczas pisania, nie mając prawdopodobnie w pierwotnym planie powieści takiego zamiaru. Bartnicki postacią swoją nie spaja opowiadania jednolitością kompozycyi, jest poprostu jedną z sylwetek galeryi studentów, zaszczyconą stosunkami z domem hrabiowskim. Wątpimy mocno, czy jako typ medyka zamiłowanego *naukowo* w przyrodzie, mógłby on rzeczywiście wygłaszać naiwno-egzaltowane tyrady wobec zblazowanych hrabiczów dla tak marnej okoliczności, jak czyjś zamiar zgniecenia nogą liszki, która się odważyła spocząć na szatach nadobnej hrabianki. Z przesadą mazgaja sentymentalnego podnosi ją z ziemi, sadza ostrożnie na krzaku i prawi hymn na cześć przyrody, hymn, którego w powieści może hrabianka słuchać z uwielbieniem dlo mówcy, lecz w rzeczywistości musiałaby usta przygryzać, żeby śmiech powściągnąć.

Po za tem opowiadanie czyta się przyjemnie. Inne typy studentów, jak Spinoza, litwin Budrys, Łabędzki, nie przestają bawić czytelnika swoim żargonem uczniowskim. Dodaje pewnego uroku powieści sam wątek, który mało u nas wyzyskiwano dotychczas.

Zyg. Piet.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Wielki niedźwiedź w śnie letnim. — Cisza i wyschłe źródła nowin. — Krople potu dzienników. — Walka o wybór prezesa komitetu i sztuczne podniecenie. — Wynik prawidłowy. — Szlacheckie słońce. — Piękne dni Aranjuezu. — Skromna wymagalność przymiotów od znakomitych obywateli. — Zjazd lekarski w Berlinie. — Stan najbardziej pracujący naukowo. — Komary zagraniczne. — Małżeństwa przez ogłoszenia i pośrednictwo biur. — Statut kantoru na Norderney. — Wystawa piękności. — Inne czasy, inni ludzie. — P. Czyński. — W Towarzystwie wioślarskiem.

Świat cywilizowany, jak wielki niedźwiedź, zapadł w swój zwykły sen... letni. Ciepło, które w całej naturze wytwarza ruch, myśli i stosunki ludzkie ogarnia martwotą. Europa, rozleniwiona upałem, próżnuje i drzemie, a z nią my, do wypoczynku zawsze gotowi i skorzy. Warszawa, od tygodnia jak piec hutniczy ziejąca żarem, zajęta jest spijaniem piwa w teatrzykach ogródkowych i ocieraniem potu, prowincya — jak zwykle — bądź gra w karty, bądź też — również jak zwykle — skarży się na nieurodzaj (za mojej pamięci urodza-

ju nigdy u nas nie było, bo zawsze ziemianom czegoś brak). Nie wszyscy jednakże oddawać się mogą rozkosznemu wczasowi. Najnieszczęśliwsze o tej porze pisma codzienne muszą ciężko pracować nad wypełnieniem wodą swych pustych kolumn. O ludzie, którzy z lekkiem sercem bierzecie dziennik do ręki dla wyczytania w nim nowin, czy wy wiecie, że na każdym jego wyrazie perli się kropla znoju? Biedny redaktor i jego współpracownicy, zasiadłszy przy biurkach, na których oprócz kurzu nic niema, topią strapione głowy w dłoniach, rozmyślając: o czem tu pisać? Niewyczerpana krynica domysłów, wiadomości — Bismark, jest dziś suchą wiejską studnią; Izby sejmowe zamknięte; na widnokręgu politycznym nie widać ani jednej chmurki, nawet ludzie nie chcą się mordować, a ogródkowe i nieogródkowe „premiery“ i przejechania na ulicy ostatecznie się znudzą. Od pewnego zaś czasu zmyślanie „sensacyjnych wypadków“ jest grą dosyć ryzykowną i ze względu na konieczność sprostowań — bardzo nieprzyjemną. A tu trzeba codzień, powtarzam — codzień ukręcić bicz z piasku i wydać numer gazety! Zaiste, można rozpaczliwie załamać ręce i zawołać: Boże, po co stworzyłeś „szóste mocarstwo“ świata, zwłaszcza te jego twierdze, które ustawicznie muszą strzelać pustymi nabojami?

Skazani losem na tę uciążliwą i nudną robotę próbowali siebie i swoich czytelników zelektryzować wyborem prezesa komitetu Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Przez kilka dni rzeczywiście objawiły się w prasie pewne żywsze drgnienia, drgnienia żaby z obciętą głową i nakropionej kwasem siarczanym, ale naprzód te ruchy trwały zbyt krótko, bo wybór wkrótce został dokonany, a powtóre były one w znacznej mierze sztuczne. Bo skoro ci sami, którzy pozornie najbardziej roznamiętniali się walką, dowodzili, że Towarzystwo jest maszyną zbyt ustaloną w swem działaniu, ażeby na nią zdołał jakiś wpływ wywrzeć prezes komitetu, to naturalnie nie mogli zapłonąć mocnym ogniem do żadnego z dwu kandydatów, zwłaszcza że obu wyposażono całkowitym garniturem cnót i przymiotów. Zarówno jak owa prezydentura jest dość bezwładnym zaszczytem, tak toczona w jej sprawie walka była tylko dogadzaniem tej lub owej ambicyi. Ani o ważne stanowisko, ani o ważną katedrę tu nie szło — i doprawdy wzięci na spowiedź rycerze obu stron, przyznaliby się, że im jest w gruncie rzeczy obojętnem, który kandydat zwycięży. Zwyciężył p. L. Górski. Gdyby z urny wyszedł był inny radca, uważalibyśmy wybór za równie szczęśliwy, przyznajemy wszakże, iż ten leżał najbardziej w naturze rzeczy. Słusznie czy niesłusznie (gdyż kadzidła palone przewodnikom ziemiaństwa są lotnym dymem, nieuchwytnym, a więc niedostępnym dla sprawdzianów krytycznych) p. L. Górski uważany i stale ogłaszany jest w pismach konserwatywnych za słońce, około którego wszystkie ciała szlacheckie, świecące i ciemne, obracają się od lat wielu. Należy więc uznać za wynik prawidłowy, że właśnie to słońce umieszczono na zaszczytnem miejscu prezesa komitetu Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Tym sposobem stało się zadość obywatelskiemu kultowi i prawom społecznej astronomii, a jak chcą niektórzy, sięgający wzrokiem w przyszłość — i astrologii. Tylko szkoda — jak rzekłem — że to wszystko odbyło się tak prędko. Dzienniki bowiem straciły słaby, ale zawsze pożądany narkotyk dla podniecania swych czytelników, a panowie radcowie przyjemność odgrywania roli kardynałów, wybierających papieża i trzymających świat w natężeniu zaciekawienia, komu pasterską godność powierzą. Wprawdzie odrywano ich osobno i razem w jednym z *Kuryerów* — ale miłe chwile wzruszeń minęły, a kto tam o tych rysunkach, oprócz rodzin, będzie pamiętał za... miesiąc!

Kuryer codz. nie przesadza, twierdząc, że po za p. Górskim między kardynałami ziemiaństwa możnaby znaleźć niejednego, któryby zasługiwał na wybór. Przy niezmiernie skromnem wymaganiu od naszego ziemiaństwa uzdolnień i przymiotów, dających tytuł do chwały, najzupełniej temu wierzę. Bo czegóż dziś żądamy od „znakomitego obywatela“? Nie potrzebuje on wcale — jak p. Górski — budować kościołów i zakładać ochron, dość gdy nie traci majątku, umiejętnie prowadzi swoje interesy i chłopów nie krzywdzi. Szersza działalność społeczna jest warunkiem pożądanym, ale nie koniecznym. Gdzie jest drugi kraj, w którymby — jak w Poznańskiem — było wielką, roztelegrafowywaną i wysoce cenioną zasługą nabyć folwark lub posiadanego nie sprzedać? Takiego bohaterstwa świat nie zna i ani wie, że przy tym samym ogniu, przy którym piecze się interes osobisty, można bez zachodu wygrzać swoją sławę.

Warszawa wyludniła się nawet z lekarzów. Liczną gromadą powędrowali oni na zjazd berliński, jedni z rozprawami, drudzy z ciekawością. Bierze nas chęć łudzenia się, że coś nam przyniosą z tego jarmarku, jakieś nowe a skuteczne sposoby pokonywania zakaźnych chorób, jakieś światełka, rozpraszające straszliwą ciemność, która zalega prawie wszystkie działy medycyny. Daremne nadzieje — nie przyniosą nic więcej nad to, co już posiadamy. Dowiedzą się tylko wzajemnie o swoich zamiarach, przedsięwzięciach, próbach, przypuszczeniach itd. Wielkie odkrycia nie czekają kongresów, lecz natychmiast ogłaszają się światu donośnym dzwonem. Niezależnie jednak od ubóstwa rezultatów i stwierdzanej ciągle niemocy wysiłków, przyznać trzeba lekarzom wogóle szczerość starań i rzetelność trudów w rozszerzaniu swej wiedzy, naszym zaś oddać tę sprawiedliwość, że ze wszystkich żywiołów inteligencyi najwięcej i najsumienniej zajmują się nauką. Nic to nie znaczy, że rezultaty zwykle nie odpowiadają nakładowi pracy; że inne umiejętności rozwijają się może szybciej i nie są tak kruche; osiągnięte wyniki trzeba zawsze mierzyć nietylko ich wartością, ale także trudnością zdobycia. Gdzie zaś jest więcej zagadek i powikłań, niż w tym małym a pełnym tajemnic światku, który nazywamy organizmem ludzkim? Wystarczy on dla badań jeszcze na tysiące lat i zapewne będzie jedną z ostatnich dziedzin, które rozum przeniknie, jeżeli przeniknie wszystko.

Pomysły zagraniczne zwykle krążą i brzęczą koło nas, jak komary, odganiane wachlarzami *Kuryerów*, aż wreszcie oswajamy się z nimi i pozwalamy im się kąsać. Tak np. było z ogłoszeniami, zawierającemi propozycye małżeńskie. Gdy przed 10 laty *Nowiny* zamieściły inserat tej treści p. L. Dąbrowskiego z Temnikowa, potępiono ów „bezwstyd“ jako „zniewagę sakramentu“ i „świętej instytucyi.“ Dziś takie tylko pisma nie drukują podobnych ogłoszeń, które ich nie mają; złorzecząc zaś temu „rajfurstwu,“ jednocześnie otwierają swe kolumny wabieniom zasadzkowym. Bo — według szczególnej etyki warszawskiej — jest nieprzyzwoitem i niemoralnem za pomocą dziennika poszukiwać żony lub męża, ale przyzwoitem i moralnem zawierać i podtrzymywać związki krótkotrwałe, niedwuznacznej natury. Niedługo wszakże obie te operacye równouprawnią się w gazetach, a nawet sądzę, że powstaną u nas osobne i jawne agentury stręczeń małżeńskich. Spoczywają one bowiem już w potrzebach czasu. Serca zawsze szukać i znajdować się będą bez żadnej pomocy, ale interesy materyalne wymagają pośrednictwa. Ponieważ zaś małżeństwa stają się coraz częściej spółkami ekonomicznemi i spekulacyjnemi, więc muszą posiadać instytucye, ułatwiające stronom zbliżenie się. Bądźcie szczerzy, panowie dobrze urodzeni, którzy poszukujecie bogatych żydówek, dorabiający się przemysłowcy, którzy pragnęlibyście posagiem zasilić swoje przedsiębiorstwa, pocci, którzy chcielibyście kwilić przy boku złotej gęsi, wszyscy wreszcie spekulujący na szóstym „sakramencie,“ czy nie radośnie powitalibyście kantor stręczenia małżeństw, czy on nie oszczędziłby wam wielu kłopotów, przykrości, wstydu i rozczarowań? Nie żądam, ażebyście odpowiedzieli mnie głośno, tylko sobie po cichu. Z pewnością nie omylę się, przypuszczając, że będziecie mi wdzięczni, gdy dla poparcia waszej sprawy przytoczę statut biura pośredniczącego w kojarzeniu małżeństw na Norderney.

§ 1. Każdy, chcący korzystać z instytutu, płaci za czas sezonu kąpielowego 20 marek; w tem mieści się wynagrodzenie dla inspektora i wogóle wszystko. Przysłane pocztą portrety uwzględniane będą tylko przy dołączaniu do nich tej sumy.

§ 2. Korzystanie z instytutu odbywa się w ten sposób, że jego członek dostarcza swego portretu dla pewnej części lokalu. Nadesłane portrety są ponumerowane, a każdy członek według woli może podać swoje nazwisko, stan, wiek, religię, miejsce zamieszkania, zamożność itd. lub też nie, a wtedy według numeru można zasięgnąć odpowiednich wiadomości.

§ 3. Każdemu członkowi wolno każdego czasu wycofać zarówno swój portret, jako też kartę księgi głównej, na której wypisane są jego objaśnienia osobiste, ale w takim wypadku traci prawo odwiedzania biura.

§ 4. Portrety kobiet i mężczyzn wystawione są w oddzielnych pokojach, przyczem mężczyźni mają dostęp tylko do pokoju z portretami kobiecymi, a kobiety — z męzkimi.

W końcu mieszczą się przepisy podrzędniejszej wagi. Zupełna dyskrecya zapewniona. Ktoby chciał je poznać szczegółowo, niech się zwróci po kopię ustawy do Norderney.

Wszak prawda, łowcy posagowi, że to wielka wygoda?

Drugim komarem, który długo około nas brzęczał i już siada, jest wystawa piękności. Przynajmniej *Kuryer warsz.* zapewnia, że ów projekt już został obmyślony. „Kandydatki nie mogą być młodsze niż lat 16 i nie starsze nad 35 lat wieku. a będą się rekrutować z *uznanych* sfer towarzyskich, nie wyłączając i klas pracujących... Konkurs zostanie rozstrzygnięty w rodzaju plebiscytu przez samą publiczność, każdy bowiem zwiedzający wystawę otrzyma odpowiednie kartki, na których oznaczy kandydatki do nagród trzech kategoryj.“ Do konkursu tego będą dopuszczone wyłącznie same warszawianki.

Już dawniej na tem miejscu wypowiedzieliśmy zdanie nasze o podobnych turniejach. Miałyby one racyę, a nawet szlachetny cel w Grecyi klasycznej, która rzeczywiście odczuwała i oceniała piękno, dla której publiczne rozebranie się Fryny nie było tylko zuchwałością i bezwstydem. Obecne pokolenia zatraciły ten zmysł artystyczny, nie umieją już podziwiać piękna bez przymieszki pożądań zmysłowych. Urocza kobieta dla mężczyzn tegoczesnych — to nie arcydzieło natury, to nie twór, budzący takie wrażenia, jak rzeźbiony posąg, ale ponętne ciało, które oni pragnęliby zużyć, zniszczyć, splugawić, zjeść tak, jak smaczny owoc. Kobiety o tem bądź wiedzą, bądź instynktownie czują, i dlatego w konkursach zwykle uczestniczą te tylko, które zachowały na swych twarzach wszystkie wdzięki, prócz wstydu. Tryumfatorki popisów zagranicznych należały przeważnie do „klasy nieuznanej“ i zdobywszy palmy na igrzyskach, wynajmowały się przedsiębiorcom na dalsze pokazy. Musimy więc albo zrzec się tych wystaw, albo wykształcić w sobie stępiony zmysł piękna, któryby je uprawniał estetycznie i moralnie. Inaczej będzie to zawsze skandalik *sub rosa*; dorzniemy stępione zmysły już zdechlaczych, a jeszcze namiętnych samców. Możemy zachwycać się Fryną malowaną, ale niech się nie probuje na nas swych wdzięków, bo chociażby była najcnotliwszą, jedni ze-

chcą ją zabrać z sobą do domu, a drudzy z policyantem do cyrkułu.

Wątpimy, czy skwar, paraliż stosunków towarzyskich i wszystkie nudy lata zdołają zgromadzić p. Czyńskiemu w sali ratuszowej ciekawych, którzyby chcieli się dowiedzieć, co on myśli: o okultyzmie, mimice, frenologii, chirognomonii, chiromancyi, grafologii i innych rzeczach. Radzilibyśmy temu mistrzowi, ażeby ze swoją wiedzą i sztukami popisywał się na prowincyi, gdyby nie to, że ona już z niego żartuje.

Zawiązana w Towarzystwie wioślarskiem konfederacya przeciwko obostrzeniu regulaminu, wywołanemu znanym wypadkiem, przywróciła na zebraniu dawną pobłażliwość. Protestującym szło o to, ażeby zbytnią surowością nie zrażać członków i nie przeszkadzać im w „zapoznaniu się z dnem rzeki.“ Ponieważ rzecznik opozycyi p. adw. Ciągliński, wytoczył prawie moralny proces o mącenie wody Towarzystwu, więc nie pozostaje nam nic innego, jak przystać na to, ażeby wioślarze „poznajamiali się z dnem rzeki“—skoro tego pragną.

PRASA RUSKA.

Nowoje Wremia ogłasza znowu rozmowę swego korespondenta z ks. Bismarkiem, dotyczącą stosunków rusko-niemieckich:

— Zawsze byłem — mówił samotnik z Friedrichsruh — za utrzymaniem dobrych i przyjacielskich stosunków z Rosyą, w przekonaniu, że one przedewszystkiem czynią zadość interesom Niemiec. Nie moja wina, że nie zawsze były takie, jakimi być powinny. Nie ja odwracałem się od Rosyi, ale mnie odpychali od niej i stawiali w takiem położeniu, że względy osobistej godności i honoru Niemiec zmuszały mnie do pewnej zmiany stanowiska. Zaczęło się to w roku 1875, gdy ks. Gorczakow, dotknięty w swej ambicyi rolą, jaką odgrywałem na widowni politycznej, dał mi to wyraźnie do poznania. Dość długo jednak starałem się nie mieszać tej niechęci do polityki, ile że osobiste stosunki monarchów były jaknajlepsze. Na dowód, do jakiego stopnia mój stary Wilhelm i ja usposobieni byliśmy życzliwie względem Rosyi, mógłbym pokazać ciekawą korespondencyę, prowadzoną w swoim czasie z cesarzem. Przypominam też sobie nasze rozmowy podczas wojny tureckiej; obaj śledziliśmy ruchy wojsk ruskich z żywem zajęciem i sympatyą, rozbieraliśmy widoki wojny po porażce pod Plewną i z radością powitaliśmy szybkie przejście przez Bałkany. Odtąd czekaliśmy niecierpliwie na wiadomość, którąby postawiła sprawę ruską nad Bosforem na niewzruszonej podstawie... W każdym razie nie nasza wina, że to się nie spełniło. Nie skorzystaliście z danej chwili, o ile wiem z opowiadań, zmarnowano także później dobrą sposobność powetowania tego wielkiego błędu drogą zawarcia przymierza z wczorajszym przeciwnikiem.

W Rosyi nie mogą mi darować wyników kongresu. Zważyć atoli trzeba, że zwołanie go nastąpiło jedynie z inicyatywy dyplomacyi ruskiej. Na wiosnę 1878 przybył do mnie hr. Szuwałow i wyraził mi życzenie cesarza Aleksandra II, abym podjął się zwołania kongresu. Mówili mi, że chodzi tylko o puszczenie w ruch maszyny, że potem już sami dadzą sobie radę. Podzieliliśmy się tedy pracą: Szuwałow miał skłonić do udziału w kongresie Anglię, a ja Austryę. Podczas samego kongresu byłem powolnym sługą Rosyi, spełniałem wszystkie życzenia pełnomocników ruskich, broniłem ich żądań; trudno, abym odpowiadał za to, iż żądania owe przekraczały granice tego, czego można było wymagać. W tym czasie tak wysoko ceniłem przychylność Rosyi, że bez szemrania zniosłem wyniosłe traktowanie mnie ze strony Gorczakowa. Doprawdy nieraz postępowano ze mną tak, jak z lokajem, który nie dość szybko zjawia się na głos dzwonka.

Po kongresie berlińskim stosunek nasz do Rosyi zmienił się. Była wprawdzie chwila, w której hr. Szuwałow proponował mi zawarcie formalnego przymierza. Byłoby to jednak równoznaczne z odstrychnięciem się od nas całej Europy; nie mogłem do tego stopnia odosobnić Niemiec, a w przekonaniu tem utrwalały mnie głosy pełne nieufności, a nawet gniewu. W takich warunkach rękojmie trwałości przymierza były zbyt kruche. Okoliczności potwierdziły moje obawy. W r. 1879 miałem w ręku dokument, w którego istnienie nie uwierzyłbym nigdy, gdybym go nie widział czarno na białem. W dokumencie tym grożono dwukrotnie wojną. Wtedy to zdecydowałem się ostatecznie na odwiedzenie przyjaciela mego, Andrassego. Istniejące dziś przymierze potrójne wtedy wzięło swój początek.

A mimo to wszystko Niemcy nie żywią bynajmniej nieprzyjaźni ku Rosyi. Nie pojmuję zupełnie, jak można nawet przypuszczać, że między Rosyą a Niemcami przyjdzie do wojny. Zastanówmy się nad tem ze stanowiska realnego. Jaką kompensatę, jakie wynagrodzenie mogłaby otrzymać w danym razie strona zwycięzka. Rosya mogłaby zabrać nam pas wybrzeża morskiego, to jest kupić sobie jeszcze pewną liczbę baltów, którzy przysporzyliby jej dużo kłopotów, bo ludność tego wybrzeża odznacza się bardzo demokratycznemi przekonaniami. Gdyby zaś zwyciężyły Niemcy, musielibyśmy wam zabrać polaków, a tych ostatnich mamy u siebie dosyć, więcej nawet, niżby sobie życzyć należało. Dalej nie ulega kwestyi, że 500 tysięcy niemców nie przyniosą Niemcom takiej klęski, jaką dla Niemiec byłoby wtargniecie 500 tysięcy ruskich. Znam wsie i miasta ruskie — wiem, że można je łatwo spalić, zniszczyć, ale z równą łatwością odbudować. Inaczej ma się rzecz u nas, gdzie ludność jest tak gęsta i gdzie miasta leżą tak blizko od siebie. Nie mówię już o tem, że przykłady Karola XII i Napoleona nie zachęcają bynajmniej do wojny z Rosyą. Znamy też przymioty wojenne żołnierza ruskiego, jego odwagę i wytrwałość. W takim stanie rzeczy w odmęt wojny rzucać się mogą chyba ludzie pozbawieni rozumu. Zresztą wierzę niezachwianie w pokojowy charakter polityki ruskiej. Ilekroć zwracano mi uwagę na ciągłe tranzlokacye wojsk ruskich w kierunku granicy, nie widziałem w tem nic dziwnego, bo cóż naturalniejszego, że Rosya pragnie i musi przygotować się i uzbroić odpowiednio na chwilę rozwiązania kwestyi wschodniej. Nigdy jednak w posuwaniu wojsk ku granicy nie widziałem groźby pod adresem Niemiec. Nie wierzę w możliwość wojny niemiecko-ruskiej do tego stopnia, że w razie nawet wojny naszej z Francyą przypuszczam bierne zachowanie się Rosyi. Gdybyśmy zaś zaczęli wojnę z Rosyą, Francya z pewnością wpadłaby na nas i mielibyśmy wojnę na dwa fronty. Już to samo może ostudzić krewkie zapędy. Dzisiaj jestem zwykłym śmiertelnikiem, nie kieruję już polityką Niemiec, w każdym razie jednak głos mój w sprawach politycznych ma jeszcze pewną powagę; otóż mogę zaręczyć najsolenniej, że Niemcy nigdy nie zaczepią Rosyi.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W nowej ustawie paszportowej poczyniono niektóre poprawki, dotyczące zmiany terminów, na jakie wydawane być mogą paszporty, i sposobu kontroli nad nimi. Projekt oddany zostanie do zatwierdzenia Rady państwa na posiedzeniu jesiennem.

— Wydane zostało rozporządzenie, aby paszporty, przesyłano do urzędów gminnych lub powiatowych, w celu odnowienia, odnawiane były i wysyłane osobom interesowanym nie później, jak w trzy dni od daty odebrania paszportu z poczty.

— Obostrzenia paszportowe są na porządku dziennym prawie na całym obszarze państwa. Gubernator wołyński kazał porozlepiać ogłoszenia w Równie, zapowiadające, iż każdy przebywający w tem mieście, bez względu na płeć, po dojściu do lat 14, winien się zaopatrzyć w paszport, w przeciwnym bowiem razie będzie uznany za włóczęgę i zostanie surowo ukarany. Właściciel domu, przechowujący takie osoby, poniesie grzywnę do 500 rs. lub areszt do trzech miesięcy. Biedacy są przerażeni i tłumnie oblegają kantor pocztowy, posyłając ostatnie pieniądze na paszporty. Ci zaś, którzy ich nigdy nie mieli, a znaleźli sobie zarobek, muszą wracać po nie do gub. mohylewskiej, mińskiej lub czernihowskiej. Takie same rozporządzenia dotknęły i inne miasta, miasteczka i wsie, np. Dubno, Łuck, Krzemieniec i Poczajów.

— Niektórzy fabrykanci z Moskwy i Włodzimierza udali się do ministra skarbu z prośbą o ścisłe określenie kompetencyi inspektorów, którzy odważyli się wtrącać do spraw i szczegółów fabrycznych, czyli do warunków najmu i płacy roboczej.

— Do departamentu lekarskiego ministeryum spraw wewnętrznych kilka kobiet złożyło prośbę o pozwolenie pełnienia obowiązków farmaceutów w aptekach. Wiele z nich posiada patenty z odbytych kursów farmaceutycznych w Zurychu i Wiedniu. Prośby ich będą uwzględniane, pod warunkiem złożenia egzaminu na stopień pomocnika aptekarskiego.

— Sale zarobkowe imienia Staszyca przy szpitalu wolskim posiadają obecnie 45 stałych pensyonarzy, 22 mężczyzn i 23 kobiety. Zakład się rozwija. W oddziale męzkim powiększono warsztaty stolarskie wskutek obstalunków, poczynionych przez zjednoczonych stolarzy na niektóre wyroby, w oddziale zaś kobiecym wprowadzono wyplatanie mebli. Robotnice wykonywają obstalunki dla jednej z warszawskich fabryk mebli giętych. (*Kur. codz.*).

— Podatek szpitalny, zatwierdzony niedawno, ma być tylko tymczasowym. Natomiast we właściwych sferach opracowywany jest inny, ogólny, który będzie pobierany na rzecz wszystkich szpitali i zakładów dobroczynnych w Królestwie Polskiem. Zastosowanie tego podatku usunie potrzebę świadectw ubóstwa. Leczenie w szpitalach na salach ogólnych będzie dla wszystkich bezpłatne. Istotnie będzie to bardzo duży krok naprzód, który u nas filantropia wykona.

— *Kuryer codz.* donosi o obywatelu miasta Warszawy, który uczynił zapis kilku tysięcy rubli na rzecz plantacyj miejskich. Musi on być jednym z posiadaczy najczulszych na brak powietrza w Warszawie, z każdym rokiem, w miarę dokonywanych robót budowlanych, coraz bardziej więzionego w ciasnych kanałach murów kamienicznych, zwanych pospolicie ulicami.

Cholera nietylko szerzy się w Hiszpanii, ale wybuchła w Mekce, a podobno dostrzeżono jej objawy w Paryżu i Montpellier.

Sprawy szkolne. W nadchodzącym roku szkolnym na skutek postanowienia ministra oświaty, dzieci poddanych zagranicznych, narodowości żydowskiej, nie mają być dopuszczane do wyższych i średnich zakładów naukowych. Tyczy się to osób, niemających prawa przebywa w obrębie państwa ruskiego. (*Now. Wr.*).

— Ministeryum dóbr państwa zamierza utworzyć w roku przyszłym kilka szkół ogrodniczych w różnych stronach państwa, Głównie ma być uwzględnione w nich sadownictwo i prowadzenie szkółek drzew owocowych.

Przemysł. Pan Stefan Borkiewicz założył w swoim majątku, Mierozonicach pod Wodzisławiem, farbiarnię płócienek. Robotnicy są sprowadzeni ze Szląska pruskiego.

— Właściciele cukrowni w gub. kijowskiej, wołyńskiej, podolskiej i połtawskiej podali do ministeryum skarbu petycyę zbiorową o zmniejszenie akcyzy od mączki cukrowej.

— Ministeryum dóbr państwa gorliwie sie zajęło podniesieniem jedwabnictwa w Rosyi przez zakładanie szkół odpowiednich, dostarczanie chętnym potrzebnych narzędzi, wskazówek i t. p. Dotychczas zabiegi ministeryum są skierowane ku rozszerzeniu znajomości hodowli, wykarmienia gąsienic oraz rozwijania kokonów. Istnieje projekt podwyższenia cła na jedwabną przędzą zagraniczną.

Sprawy kolejowe. Ministerya komunikacyi i skarbu porozumiewają się co do ustanowienia jednolitej manipulacyi w zarządach wszystkich dróg żelaznych.

— *Kur. warsz.* „dowiaduje“ się o wprowadzeniu w życie taryfy na przewóz ładunków naftowych zagranicę w wagonach-cysternach od stacyi Saratów i Ulszewska przystań kolei tambowsko-saratowskiej do stacyj Granica i Sosnowiec kolei dąbrowskiej.

OGŁOSZENIA.

Wina Krymskie i Zagraniczne

oraz

COGNAC KRYMSKI

analizowany jako prawdziwy wyrób z wina i przez powagi lekarskie zalecany.

Lepszy na cele lecznicze, niż Koniaki francuskie, z których największa część z powodu wyniszczenia winnic przez filokserę, tworzy się ze spirytusu kartoflanego.

Tańszy, gdyż nie ciąży na takowym wysokie cło i transport około 2 rs. z butelki, otrzymać można wyłącznie

w Składzie Win
BRACI KEMPNERÓW
Długa Nr. 5.

Cena: 1/1 but. rs. 1,50, 1/2 k. 80, 1/4 k. 40. Skrzynki po 6 butelek wysyłają się do wszystkich St. Dr. Ż. franco w Królestwie po rs. 9.

Apteka WENDY i WIOROGÓRSKIEGO

45 Krakowskie-Przedmieście, w Warszawie.
posiada na składzie

Barwniki, Narzędzia, Naczynia

i inne środki pomocnicze
do robót mikroskopowych.

Do AMERYKI.



BILETY JAZDY

Holendersko-amerykańskiego Towarzystwa żeglugi parowej

w Kantorze Ekspedycyjnym
MAURYCEGO LUXEMBURGA,
Jeneralnego Ajenta Towarzystwa
w Warszawie, Erywańska 6.

Wszelkie objaśnienia szybko i bezpłatnie.

☞ Najkrótsza, najszybsza i najtańsza podróż.

F. Drechsler
Warszawa,
Leszno 14.



ROWERY od rs. 125—250.
BICYKLE od rs. 100—220.

Używane welocypedy od rs. 50.

Nagrody z Wystaw za skuteczność: Warszawa 1885, Warszawa 1886, Kraków 1887, Symferopol 1888.

!!TYSIĄCE ŚWIADECTW!!
PEWNY ŚRODEK
„EXSICCATOR"
OSUSZA WILGOĆ, ZABEZPIECZA DRZEWO OD GNICIA, GRZYBA i t. p. — BROSZURA ILUSTROWANA BEZPŁATNIE.
POSZUKUJĘ AGENTÓW.
Wyn. Inż. G. Ritter.
KRÓLEWSKA 39.

Uwaga. Upraszam o zwrócenie uwagi na markę fabryczną, gdyż wiele pojawiło się falsyfikatów.

„Na Raty"

Lustra

sprzedaje miejscowym i na prowincyę
Fabryka zwierciadeł
MAURYCEGO Silberberga
8, Rymarska, 8.

☞ Z powodu istniejących firm podobnych uprasza się o zwrócenie uwagi na

dokładny adres i Nr. 8.

WYSZEDŁ

9-ty ZESZYT

WIELKIEJ
Encyklopedyi Powszechnej
ILUSTROWANEJ
S. SIKORSKIEGO

opracowany przez najznakomitsze siły naukowe i literackie, zawierający wiele drzeworytów w tekście.

W ciągu roku wyjdzie 24 zeszytów, stanowiących 3 tomy.

Cena każdego zeszytu w Warszawie 50 k.

Na przesyłkę pocztową dopłaca się 10 k. od zeszytu.

☞ Prenumeratorzy, opłacający odrazu należność za rok cały, czyli za 24 zeszytów (3 tomy), nie ponoszą kosztów przesyłki, **zapłacą więc tylko rs. 12, zamiast rs. 14 k. 40.**

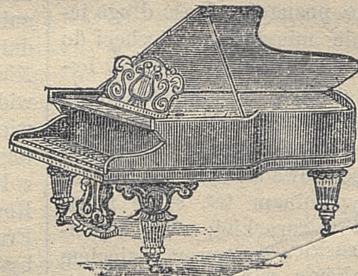
Redakcya i administracya Chmielna Nr. 9.

GEBETHNER i WOLFF

NAJWIĘKSZY W KRAJU

Skład Fortepianów i Pianin

☞ Sprzedaż na raty. ☜



Wynajem instrumentów.

40, Krakowskie-Przedmieście, 40.

Wydawnictwa „Prawdy."

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tłom. K. Lewald — rs. 6.

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika**, tłom K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce**, wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.** Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

E. Taylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1 k. 50.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3 (z przesyłką rs. 3 k. 50).

W. Okoński. **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) — rs. 1.

— **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug. Damian Capenko — k. 50.

— **Klemens Boruta**, powieść — k. 40.

— **Niewinni**, dramat w 3 aktach — k. 80, z przesyłką rs. 1.

Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — rs. 1.

N. Hirszband. **Byron** w urywkach — rs. 1 kop. 20 z przesyłką rs. 1 k. 25.

Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie), rs. 1, z przes. rs. 1 k. 20.

K. Lewald. **Historya XIX w.** od r. 1800—1888 — rs. 3 k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.

E. B. Tylor. **Antropologia** z ilustracyami, w przekładzie A. Bąkowskiej—rs. 2., z przesyłką pocztową rs. 2 k. 30.

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.

Spółka Nakładowa

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 — rs. 2.

Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie wieku XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 — rs. 2 k. 50.

Gumplowicz L. System socyologii—rs. 3 k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.

Kramsztyk Stanisław. O postaci i ciężarze ziemi, str. 93 — k. 60.

A. Okolski Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych A. P. — rs. 3, z przesyłką rs. 3 k. 30.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 k. 20.

Smoleński Władysław. Drobna szlachta w Królestwie Polskiem, studyum etnograficzno-społeczne, str. 66 — k. 60.

Biuro i ekspedycya **Spółki Nakładowej:** Warszawa, **Marszałkowska, nr. 95.**

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 27 Іюля 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.